



PAWEŁ DE ST. VICTOR

BARBARZYŃCY

(BARBARES ET BANDITS)

PRZEŁOŻYŁ I WSTĘPEM POPRZEDZIŁ
JERZY HUZARSKI

WYDAWNICTWO BIBLIOTEKI HISTORYCZNEJ
WARSZAWA — 1914



CM 313783

Дозволено Военною Цензурою
Варшава, 26 Августа 1914 г.

OD TŁOMACZA.

Zaznajamiając czytelnika polskiego z utworem, mającym wszelkie pozory utworu szowinistycznego, tłumacz, a w szczególności tłumacz, który jako publicysta niedwuznacznie wypowiedział się zawsze przeciw wszelkim szowinizmom, winien jest czytelnikowi kilka słów obrony.

Obowiązani jesteśmy, uprzedzając zarzuty, donieść, że „Barbarzyńcy i bandyci“ Pawła de St. Victora*) nie są owocem nastroju szowinistycznego, że niema w nich stronniczości ani zaślepienia.

I że, przeciwnie, tkwią w utworze tym wieczne walory moralne, że zabrzmiewa w nim okrzyk buntu przeciw gwałtowi, niesprawiedliwości, barbarzyństwu, że przepełniony jest on duchem wysoce humanitarnym. Tytuł „Barbarzyńcy i bandyci“ łącznie z podtytułem „Rzecz o Prusach“ jest sam przez się wielce wymowny. I ta wymowa jego w zestawieniu z faktem, iż szkice niniejsze napisane zostały przez Francuza

*) Paweł de St. Victor (1827 — 1881) uchodził swego czasu za najświetniejszego z pisarzy.

w latach 1870—1871-ym rodzi podejrzenia, że jest to utwór nawskroś szowinistyczny. Bo i jakże przypuścić, by w okresie, gdy sztandary pruskie, czerwone od krwi gallskiej, czarne od dymów pożogi wojennej, tryumfalnie powiewały nad Francją, — Francuz - patrijota, pisząc o najeźdźcy, mógł być zdobyć się na obiektywizm, przewyciężyć łatwo zrozumiałą gorycz i nienawiść, wydać sąd sprawiedliwy? A jednak dziś, po czterdziestu latach, potomni bezwątpienia uznają, że autor był najzupełniej obiektywnym.

Wielki gniew, przepelniający jego patrijotyczne a zbolale serce, był tym razem dobrym doradcą, acz obdarzył wzrok olbrzymią przenikliwością, przecie nie zaćmił jego jasności, nie stumił humanitarnych ideałów, którym ten esteta o wysokiej kulturze klasycznej hołdował przez całe życie. Przeciwnie, te właśnie ideały są podstawą, osnową i źródłem, z którego czerpie on swą moc. Ów gniew sprawił, że utwór *St. Victora* jest napisany w tonie namiętym, lecz nie pozbawił autora bynajmniej obiektywizmu.

Napozór twierdzenie podobne wydać się może paradoksem, brzmi, nieomal, jak „*contradictio in adjecto*“, w myśl bowiem ogólnego przesądu, pojęcia; namiętność i obiektywizm wykluczają się wzajem. Być może, iż jest to prawda, jeśli chodzi o obiektywizm metafizyczny. Ale podobny obiektywizm dostępny jest chyba przepisowaczowi lub plagjatorowi; istotna zaś twórczość jest zawsze i nawskroś subiektywna. Nam jednak chodzi nie o obiektywizm filozoficzny, lecz etyczny, to znaczy: o bezstronność sądze, sprawiedli-

wość w ocenie zjawisk. A taki obiektywizm w duszy prawej i wzniosłej godzi się najzupełniej z namiętnością.

„Barbarzyńcy i bandyci“ St. Victora prawdę tę wymownie stwierdzają. Autor z niestęchaną siłą i olbrzymiem napięciem namiętności piętnuje ducha barbarzyńskiej zaborczości, który owaładnął Niemcami i pchnął ich do wojny z Francją, gromi okrucieństwo; zajadłość i bezwzględność, które zdradzają oni na każdym kroku. A przecież, pomimo całego oburzenia, nie staje się niesprawiedliwym, i prześwietlając źmije niegodziwości, czające się w duszy germańskiej, nie przeoczył jednak żadnego waloru, stworzonego przez Niemców. Subtelny esteta składa hód „świętemu legjonowi niemieckiemu“: Goethemu, Jean-Paulowi, Schillerowi, a nadewszystko Heinemu, osobistemu przyjacielowi, którego dziesięć lat przed wojną odprowadzał na miejsce wiecznego spoczynku.

Lecz im bardziej ceni swe nieśmiertelne i idealne wartości, stworzone przez Królów-Duchów narodu niemieckiego, tem mocniej nienawidzi ich antytezy; ducha militarysty i kultu brutalnej siły, który wyparł z Niemiec kult Apollina, wrzasku rozpetanej bestji ludzkiej, który zagłuszył dźwięk lutni Goethego, Schillera i Heinego. Jego namiętne studia biją w szowinizm niemiecki, ale przeciwstawiają mu nie szowinizm francuski, lecz humanitaryzm Monteskjuszów, Wolterów, Diderotów i Russów. I dlatego utwór jego nie jest szowinistycznym, natomiast jest wiecznie żywym i ognistym protestem przeciw szowinizmowi,

przeciw rozpętaniu zwierzęcia ludzkiego. Jest przeciwstawieniem cynicznemu kultowi brutalnej siły, kultu niemilknących nigdy ideałów, które dwadzieścia wieków temu otrzymały swój najwyższy wyraz w „dobrej nowinie“ Chrystusowej.

Bismarkowski system imperjalistyczny, dogmat siły, górującej nad prawem, zły duch, który opętał Niemcy i wzniosł ten potężny gmach polityczny, co po dzień dzisiejszy jest siedliskiem rozboju politycznego—to wróg, w którego miota Paweł de St. Victor swe, zaprawione jadem nienawiści i żółcią sarkazmu groty.

Nie Prusacy lub Niemcy, jako tacy, jako ludzie, lecz jako przedstawiciele lub bezwolni służalcy owego niecnego systemu politycznego są przedmiotem jego nienawiści, celem, w który biją, jego strzały.

A że system ów w ciągu lat czterdziestu dwóch, które upłynęły od czasu napisania owej książki, spotęgniał jeszcze i skryształizował się ostatecznie w Niemczech i po za Niemcami, że orgja imperjalistyczna dosięgła w czasach dzisiejszych swego apogeeum, że militarizm stał się obecnie biczem wszystkich narodów, legendowym smokiem, ziejącym ogniem i smołą, że pochłania najlepsze siły ludów — przeto studja de St. Victora nie utraciły nic z swej aktualności. Acz splecione przed czterema dziesiątkami lat, nie są jednak li tylko dokumentem historycznym. Pozostały one tem, czem były: ognistym protestem przeciw wszelkiej nieprawości, a tem samem przeciw duchowi Prusactwa, tego skorpionia, zatruwającego swem żą-

dłem spokój Europy, tego pława, potwornemi mackami chwytającego i miażdżącego wszystko co nawinie mu się pod rękę, olbrzymiego grzechotnika, duszącego codzien swe ofiary. Dla nas którzy siłę stalowych pierścieni tego bezdusznego a okrutnego grzechotnika znamy tak dobrze a odczuwamy tak mocno, szkice St. Victora mają te jeszcze uwagę, że analizują, w jaki sposób zrodził się i urastał ów potworny organizm, jak przeobrażał się, nim stał się tem czem jest dzisiaj.

Są przytem wyborną szkołą nienawiści ku prusackiemu duchowi militarnemu tej „świętej nienawiści“ jak słusznie nazywa ją autor, którą krzepić i hodować należy, gdyż w niejtkwi zapowiedź zwycięstwa ideałów humanitarnych nad tryumfującą bestją ludzką, tryumfującą dziś wszak nietylko w Niemczech.

Pięknie formuluje tę zapowiedź St. Victor w końcowym ustępie swej książki, gdy pisze: „Niech Francja nie korzy się przed wyrokiem losów. „Niech odwoła się do tego genjusza, który oświecła i ogrzewa świat; niech zaufa swej nieśmiertelności narodowej; niech zapragnie odrodzić się, a niewątpliwie zwycięży“.

Jerzy Huzarski.

W czerwcu 1912 roku.

Henryk Heine i Prusy.

W wojnie idejowej którą obok walki zbrojnej toczymy z Prusami mamy sojusznika w największym poecie niemieckim.

Henryk Heine był zawsze śmiertelnym wrogiem Prus i raził czarnego orła najdotkliwszemi strzałami ze swego złotego kołczanu. Niemiec sercem, Francuz z upodobań, nie potrzebował nigdy — mimo prześladowań i wygnania — kochać ojczystego kraju. Choć wyśmiewał jego przesady i śmieszności, pozostał jednak wiernym synem dawnych Niemiec. Nie chciał nigdy naturalizować się we Francji, jakkolwiek obywatelstwo francuskie otworzyłoby mu drogę do wszelkich zaszczytów i urzędów.

„Tak jest — mówi z tkliwą ironią, w której czuje się łyzy roszące, uśmiech — tak jest, znalazłem wreszcie właściwe określenie: ta szalona дума poety niemieckiego nie pozwoliła mi zostać Francuzem — nawet *pro forma*. Tak, to ta idealna chimera, od której nigdy nie byłem w stanie uwolnić się. W stosunku do tego, co zwiemy zazwyczaj

patryotyzmem byłem zawsze opornym, lecz nie mogłem nigdy uchronić się od pewnego niepokoju, gdy chodziło o coś, co mogło wydać się rozwodem z ojczyzną. Nawet w duszy najświetlejszego człowieka pozostaje niewidzialny korzonek starego przesądu, który nie da się nigdy usunąć. Nie mówi się o nim, nie myśli, a jednak rozwija się on w najtajniejszych zakątkach duszy i nieostrożnie wypuszcza pędy. Małżeństwo, którem połączyłem się z ojczyzną, z drogą Germanią, jasnowłosą matką niedźwiadków, nie było nigdy szczęśliwe. Przypominam sobie wprawdzie kilka jasnych nocy przy świetle księżyca, gdy czule przyciskała mnie do swego szerokiego łona o cnotliwych piersiach; lecz mógłbym na palcach policzyć te sentymentalne noce, przytem poranek przynosił zawsze chłód i smutek, którym towarzyszyły ziewania i sceny bez końca. Ostatecznie więc nastąpiła separacya od stołu i łoża; lecz nigdy sprawy nie doszły do formalnego rozwodu. Niestało mi odwagi, by raz na zawsze zrzucić z bark ten codzienny krzyż. Wszelka apostazyja jest mi wstrętną i nie potrafiłbym rozłączyć się z żadną niemiecką kotką, z żadnym niemieckim psem, jakkolwiek razilyby mnie jego wierność. Pod tym względem najmniejsze ęprosiątko z mego kraju nie może uskarżyć się na mnie. Wśród eleganckich i mądrych prosiąt z Perigord, które wynalazły trufle i pasły się nimi, nie wyrzekłem się nigdy skromnych prosiątek z Teutoburgu, objadających się korą drzewną i żółędzmi

z ojcowskiego dębu, wzorem swych pobożnych przodków, z czasów, gdy Arminius pobił Warusa. Nie straciłem ani jednego włoska z mej germańskiej szczeciny, ani jednego bombonu z niemieckiej szlafmycy, do której mam jeszcze prawo przywiesić czarno-czerwono-złotą kokardę. Mogę jeszcze powiedzieć Masmannowi: „My osły niemieckie!“ Gdybym naturalizował się we Francyi, Massmann mógłby odpowiedzieć mi: „Tylko ja jestem niemieckim osłem, ty nie jesteś już nim“. I przy tych słowach wywinąłby drwiącego koziołka, który rozkrwawiłby moje serce. Nie, nie chcą narażać się na podobną klęskę. Coś podobnego nie przystoi poecie, który napisał najpiękniejsze pieśni niemieckie... Kamieniarz, który ozdobi miejsce mego wiecznego snu, będzie w zgodzie z prawdą, gdy wyrzyci te słowa: „Tu spoczywa niemiecki poeta“.

O ile jednak poeta kochał Niemcy, o tyle nienawidził Prus, a nienawiść ta była właśnie wynikiem owej miłości. Urodzony w Düsseldorfie w 1801 r., w czasie, gdy miasto to było jeszcze stolicą księstwa Berg, nie chciał on nigdy uznać się za poddanego Hohenzollernów. Gdy osiadł we Francyi, podał się za „uwolnionego Prusaka“. Jako Ateńczyk północy nienawidził tej koszarowej Sparty, tej ciężkiej i twardej Macedonii, której jarzmo w jego oczach miażdżyło i niwelowało jego kraj. W swej intuicji poetyckiej przewidywał i przepowiadał brutalną niewolę, której wkrótce Prusy miały poddać całe Niemcy. Wydał więc Prusom nieśmiertelną

wojnę i jego łuk giermańskiego Apolla osypał je zabójczymi strzałami.

Wiadomo, jak niezrównanym szydercą był ten wytworny świetny poeta. Wśród darów które otrzymał od wróżek, zgromadzonych nad jego kołyską, obok zaczarowanego fletu, magicznego lustra, czarodziejskiej pałeczki, odkrywającej ukryte skarby, posiadał on też cudowną strzelbę, której wszystkie kule trafiają. Często śmiech Satyra rozjaśniał jego natchnione oblicze: tworzył epigramaty, pełne prze-rażającej werwy i trafności. Ognisty język ironji nie umilkł nawet, gdy spoczywał, jako paralytyk, na śmiertelnem łożu. — „Widziałem umierającego Arystofanesa!” wyraził się jeden z jego rodaków, który odwiedził go podczas tej błyskotliwej agonii. Była to wesołość bohatera i przejmująca, maska, którą przybrał umierający, by walczyć z bólem; lecz po za maską płynęła krew i łzy.

Zapozyczymy z jego dzieła kilka polemicznych stronic, skierowanych przeciw Prusom; zaczerpmy broń niemieckiej fabrykacyi z tego świetnego i straszego arsenału.

Wojna która wybuchła nadała słowom tym piętno aktualności. Przepowiednie nadają jej szczególne znaczenie.

Jak ongi naród biblijny przywołał Balaama tak my dziś przywołaliśmy obcego wieszca by przeklął naszych wrogów.

W 1832 roku, w przedmowie do książki „O Francyi“, Henryk Heine piętnował, jak rozpalo-

nem żelazem, obłudną politykę Prus, przekładając dogmatyczny i szczerzy absolutyzm Austrii nad kręctwo i żarłoczność Prusaków, przypominających narody barbarzyńskie.— „W istocie, pisał on, możemy śmiało wydać jej śmiertelną walkę z mieczem w rękę; lecz w głębi serca czujemy, że nie mamy prawa lżyć potęgi tej obrażającemi słowy. Austria była zawsze wrogiem szczerym i godnym, który nigdy nie wypierał się, nigdy na chwilę nawet nie zawiesił walki przeciw liberalizmowi. Metternich nigdy nie kierował zakochanych spojrzeń w stronę bogini wolności, nigdy, nawet wśród niepokojów, nie grał roli demagoga, nigdy nie śpiewał pieśni Arndta, nigdy nie pijał jasnego piwa brandeburskiego, nigdy nie zabawiał się na wrzosewych wzgórzach patryotyzmu, nie udawał pobożnej bigoterji, nigdy nie płakał nad losem zwyciężonych w kazamatach fortec, w tej samej chwili, gdy skuwał ich łańcuchem. Zawsze można było wiedzieć, co należy trzymać o nim, zawsze wiadano, że należy wystrzegać go się, co też czyniono. Wiedzianno, że nie działała on ani przez miłość, ani przez nędną nienawiść, lecz, że działa potężnie w myśl systemu, który Austria hołduje od trzech stuleci... Zgoła inaczej ma się rzecz z Prusami. Niechaj uczeni lokaje z nad brzegu Szprewy marzą o wielkim cesarzu, niech ogłaszają hegemonję, niech wychwalają piękne i opiekuńcze panowanie Prus! Lecz, jak dotychczas, korona Karola Wielkiego jest zawieszona zbyt wysoko i wątpliwem jest, by szpony

Hohenzollernów ściągnęły ją z tej wysokości do swego worka i przyłączyły do poprzedniej zdobyczy, składającej się ze skarbów polskich i saskich.

„Tak jest, korona Karola Wielkiego jest jeszcze zbyt wysoki i wątpię, by zniżyła się kiedykolwiek ku głowie księcia w złotych ostrogach, któremu podwładni baronowie zawczasu już składają hołd, jako przysłemu odnowicielowi Rycerstwa... Prawdą jest, że niedawno jeszcze wielu przyjaciół ojczyzny pragnęło wzrostu Prus i spodziewało się ujrzeć w ich królach władców Niemiec, Niemiec potężnych i niepodzielnych; prawdą jest, że Prusy umiały łowić naiwnych na wędkę patryotyzmu, że ongi istniał liberalizm pruski, że przyjaciele wolności zwracali pełne ufności spojrzenia ku berlińskim lipom. Lecz ja nigdy nie podzielałem tego zaufania. Raczej z niepokojem obserwowałem pruskiego orła i, podczas gdy inni wychwalali śmiałość, z jaką spoziera on na słońce, ja z większą jeszcze nieufnością spoglądałem na jego szpony. Nie dowierzałem Prusakowi, temu świętoszkowi, długiemu bohaterowi w getrach, żarłocznemu pyszałkowi, dzierżącemu w rękach kaprałską trzcinę, którą zanurza w święconej wodzie, nim uderzy. Odpychało mnie jego usposobienie, jednocześnie filozoficzne, chrześcijańskie i żołdackie, ta mieszanina jasnego piwa, kłamstwa i brandeburskiego piasku. W najwyższym stopniu raziły mnie obłudne Prusy ze swymi pozorami świętości, raził mnie ten Tartuffe wśród państw“.

„Tartuffe wśród państw“—oto niezatarte piętno, oto trafne określenie, tego drapieżnego i podstępnego państwa, które kradnie i grabi „w imię boże“, które określa swe zbrojeckie czyny zapożyczonymi z Biblii zwrotami. Ta narodowa chytrałość wcieliła się w osobie rycerza gwałtu i który rządzi dziś Prusami, i który nawet ze szczerości uczynił przykrywkę kłamstwa.

„Prusy—dodaje poeta, zdzierając z nich wszelkie maski—umieją wykorzystać wszystko, nawet swych rewolucjonistów. Używają one pomocników wszelkich barw i odcieni do odegrania swych komedji; wyzyskują swe zebry o trójkolorowych pręgach. W ostatnich czasach Prusy posługiwały się nawet najzapalczywzszymi demagogami, by nawracać świat ku idei, w myśl której całe Niemcy powinny stać się pruskiemi. Hegel został zmuszony do wykazania racjonalności niewolnictwa, to znaczy obecnego *status quo*. Zmuszono Schleiermachera, by protestował przeciw wolności, a zalecał chrześcijańską pokorę i poddanie się wybrykom władzy. Ohydny i oburzającym jest to profanowanie filozofów i teologów, przez których wpływ oddziaływa się na naród, których zmuszają do publicznego hańbienia się, do zdradzania rozumu i Boga. Wiele pięknych imion skalano! Ile pięknych talentów uszło, dzięki tej nieczej robocie! Jak pięknem było nazwisko Arndta, nim — na rozkaz wyższy — napisał on ten ohydny pamflet, w którym umizga się jak piesek, szczeka na cześć obecnego pana i, jako prawdziwy

pies wandalski, szczeka na Lipcowe słońce! Schliermacher jest dziś rycerzem Czerwonego Orła trzeciej klasy. Dawniej był najlepszym rycerzem, był sam orłem i to pierwszej klasy. Lecz nie tylko wielkich, również i mniejszych wyniszcza się w podobny sposób. Mamy biednego Rankego, którego rząd wysłał na swój koszt w podróż. Był on pełen talentu i umiał barwnie rysować historyczne figury, była to subtelna dusza, delikatna jak jagnie w sosie, był to człowiek niewinny, którego chętnie wziąłbym za przyjaciela domu, gdybym się ożenił, był przytem zdecydowanym liberałem. Dziś zmuszają biedaka, by wypisywał w „Gazecie rządowej“ apologię uchwał semu pruskiego. Inni stypendyści, których nie chcę wymieniać, muszą czynić to samo, jakkolwiek są przekonani liberalnych. O, znam ja tych jezuitów północy. Ktokolwiek zmuszony przez nędzę, lekkomyślnie przyjmuje od nich cośkolwiek, przepadł na wieki. Podobnie jak piekło nie opuszcza Prozerpiny, od chwili, gdy zjadły pestkę od granatu, tak też jezuita pruscy trzymają w swej mocy po wsze czasy człowieka, który otrzymał od nich najmniejszy drobiazg, chociażby była to tylko pestka od złotego granatu, lub, wyrażając się prościej, skromny dukat. Zaledwie pozwala mu—wyjrzeć na jakie pół roku na słońce. Przez ten czas ludzie ci wydają się nam ludźmi światłymi i zajmują miejsce wśród nas, Olimpijczyków, mówią i piszą, częstując wszystkich liberalną ambrozyą. Lecz w oznaczonym czasie odnajdujemy ich w pań-

stwie ciemnoty, gdzie wypisują apologię na cześć prusactwu... Gdy Napoleon mierzył krokiem wązką przestrzeń swej drewnianej klatki na ósmej Helenie i gdy przychodziło mu na myśl, że zapomniał zgnieść Prusy, wówczas zgrzytał zębami, a jeśli nawinął mu się w takiej chwili pod nogi szczur, nie miłosiernie rozdeptywał nieszczęsne zwierzątko“.

W dwanaście lat później, w 1844 roku, w poemacie p. t.: „*Germania*“, humorystycznym sprawozdaniu z podróży, którą odbył w tym czasie po Niemczech, Henryk Heine, odnalazłszy w Akwizgranie Prusy—sztywne i wrogie, jak pograniczny słup, poczuł znów budzącą się w jego duszy wrodzoną antypatyę i napisał te strofy, rozlśniewające sarkazmem: „W Akwizgranie psy nudzą się na ulicach i zdają się najpokorniej prosić: „Kopnij nas, o cudzoziemcze! może choć to rozerwie nas trochę“. — Przez godzinę wałęsałem się po tej nudnej dziurze i ujrzałem znów pruski uniform; niewiele się zmienił. Wciąż te same szare płaszcze z wysokimi i czerwonymi kołnierzami. „Czerwień ta oznacza francuską krew“, śpiewał niegdyś Koerner w swych wojennych dytyrambach. — Wciąż ten sam naród pedantycznych pajaców, wciąż ten sam kąć prosty przy każdym ruchu, a na twarzach to samo lodowate i stereotypowe zadowolenie. Wciąż przechadzają się równie sztywni, równie napuszeni i obciążeni, jak niegdyś, zawsze prości, jak litera I: można by pomyśleć, że połknęli kaprałską trzcinę, którą chłostano ich niegdyś. Tak, narzędzie chłosty nie-

zupelnie znikło u Prusaków, teraz noszą je oni wewnątrz. Ich długi wąs jest tylko nową fazą panowania peruk; zamiast zawiesić ogonek z tyłu, zawiesza go się obecnie pod nosem. — Byłem dość zadowolony z kostiumu kawaleryi, obowiązkiem moim jest więc pochwalić go. W szczególności podziwiam najeżony ubiór głowy, ów hełm ze stalowym szpicem na czubku. Oto, co można nazwać rycerskiem, oto co przypomina romantyzm dawnych dobrych czasów, kasztelanek Joannę de Montfaucon, baronów de Fouqué, Uhlanda i Ticka. Jakże to przypomina wieki średnie z ich giermkami i paziarnymi, noszącymi wierność w sercu! Jakże to przypomina wyprawy krzyżowe, turnieje, zaloty rycerskie i feodalne niewolnictwo, i tę epokę wierzących, pozabawionych swej prasy, gdyż dzienniki nie wychodziły wówczas jeszcze. Tak jest, hełm zachwyca mnie! świadczy on o wzniosłości umysłu J. Kr. M. mądrego króla Prus. To iście królewski wybryk, któremu nie brak ostrości, dzięki stalowemu szpicowi. Lecz obawiam się, kochani panowie, że w chwili, gdy zagrzmie burza, ostrze to ściągnie na wasze romantyczne głowy plebejuszowskie gromy, w które obfitują dzisiejsze czasy. — W Akwizgranie ujrzałem znów na urzędzie pocztowym pruskiego orła, którego tak szczerze nienawidzę; rzucał on na mnie wściekłe spojrzenia. Ah, przeklęty ptaku! gdybyś wpadł mi kiedy w ręce, wyrwałbym ci pióra i odgryzł szpony, następnie zawiesiłbym cię w powietrzu, na wierzchu długiej tyki, uczyniłbym cię

żywym celem dla wesołych strzałów; dokoła ciebie zwołałbym najlepszych strzelców z okolic Renu. A dzielnego towarzysza, który położyłby cię trupem, obdarzyłbym berłem i koroną Renu; rozległyby się tryumfalne fanfary i wołałibyśmy: *Niech żyje król!*“

Dalej, poeta, przeniknąwszy w głąb zaczarowanej góry, w której śpi Fryderyk Barbarossa, i rozmawiając ze starym cesarzem, błaga go z gryzącą ironią, by przywrócił średniowiecze, jego przepych i dzieła, lecz by uwolnił od współczesnego żoldactwa feodalnego, wykopanego z grobu i ożywionego współczesną chłostą Prus: „Wyjdź szybko, cesarzu, z twej góry; powróć! powróć! Jeśli gilotyna nie podoba ci się, trzymaj się starych metod: miecz dla szlachty, sznur dla mieszczaństwa i pospólstwa. Tylko od czasu do czasu zmień porządek, wieszaj szlachtę a ścinaj mieszczan i chłopów, bo przecież wszyscy jesteśmy tworamii boskimi. Odnów kodeks karny i bezlitosną procedurę Karola V-go, podziel znów naród na stany, gminy i korporacje. Odbuduj stare, święte państwo rzymskie; zwróć nam te wszystkie błyszczące łachmany, te wszystkie nadwerężone szlachectwa. Zgadzam się na średniowiecze, na prawdziwe średniowiecze, takie, jakie istniało ongi, lecz błagam, uwolnij nas od tego wstrętne go rządu, od tego rycerstwa w pruskim uniformie, od tej ohydnej mieszaniny gotyckiego zabobonu i współczesnego fałszu, od tej ohydnej masy ni z pierza ni z mięsa. Wypędź tę bandę komedyantów, wypędź ich ze starodawnych kolebek rycerstwa, w których

parodjuje ona przyszłość. Przyjdź, o przyjdź, stary cesarzu, stary Fryderyku Barbarosso!“

Szczególnie nie znosił Heine w Prusach tej brutalnej nienawiści do Francyi, której uczą tam w szkołach, z której uczyniono złego ducha polityki i którą Prusy starają się zaszczerpić całym Niemcom w formie wściekłej narodowej. Gallofagja — oto lekarska nazwa tego zapienionego mikroba. Teutoni z dumą nazywają siebie samych *Franzosenfresser*, „zjadaczami Francuzów”. Teutoni stanowią w Prusach śmieszna i rozwydrzona sekte. Zjadać Francuza z kapustą w restauracyi, piąć się po linie w salach gimnastycznych, by wprawiać się w zdobywanie Galji, pić piwo w naczyniu, wyrzniętem nakształt rromańskiej czaszki i które zwie się z tego powodu *roemer*; wystrzegać się, jak bluźnierstwa, każdego słowa francuskiego pochodzenia, uczyć się w szkołach, że Francuzi są narodem małym, *Affenvolk*, że Paryż jest starym domem szatana, *Paris das alte Haus des Satans*, czczyć w Walhalli króla Ludwika Bawarskiego, jako przodków, biusty Alaryka i Totylli; okadzać ich obłokami złego tytoniu, rozpalać co rok na najwyższej górze słomiany ogień w rocznicę bitwy pod Lipskiem, pobożnie upijać się w rocznicę zdobycia Paryża—oto najświętsze obrządki tej antyfrancuskiej franmasoneryi. Ich urazy względem nas nie ograniczają się do wojen z okresu pierwszego Cesarstwa; dotyczą one wszelkich dawnych sporów gotyckich, o których my, z właściwą Francuzom lekkością, dawno już zapomnieli-

śmy. Sięgają one czasów Arminiusa, tatuowanego Germanina, oraz starej Thusneldy, którą ostatnio ujrzelśmy na scenie.

Henryk Heine ostrzegał nas przed tą przedpotopową i niczego nie zapominającą nienawiścią. — „Pilnujcie się — mówił nam — mam jaknajlepsze chęci i mówię wam jedynie gorzkie prawdy. Powinniście bardziej obawiać się wolnych Niemców, niż całego świętego Przymierza, z jego Kroatami i Kozakami. Przedewszystkiem nie jesteście lubiani w Niemczech, co jest wprost niezrozumiałe, zważywszy, że jesteście tak uprzejmi i że uczyniliście wszystko, co było w waszej mocy, by podczas pobytu w Niemczech spodobać się co najmniej pięknej połowie narodu niemieckiego. Lecz, gdyby nawet ta połowa polubiła was, to ponieważ nie nosi ona broni, przyjaźń jej nie na wiele przydałaby się. Nigdy nie mogłem dowiedzieć się, co wam właściwie zarzucają. Pewnego dnia, w Getyndze, jakiś staro-Niemiec w piwiarni wyraził się, że należy pomścić i zmazać krwią wspomnienie tragicznej śmierci Konradyna Hohenstaufena, którego ścięliście. Wy pewnie zapomnieliście o tem, lecz my nie zapominamy o niczem. Widzicie więc, że gdy przyjdzie chwila zerwania z wami, nie zabraknie nam specyficznych niemieckich racji. W każdym razie radzę wam mieć się na baczności: cokolwiek nastąpiłoby w Niemczech, czy król pruski, czy doktor Wirth zostaną dyktatorami, bądźcie w każdym razie uzbrojeni, stójcie czujnie na waszym posterunku, z bronią

na ramieniu. Jestem ożywiony względem was najlepszymi chęciami i dlatego byłem wprost przerażony, gdy doszło do moich uszu, że wasi ministrowie mają zamiar rozbroić Francję... Ponieważ, pomimo dzisiejszego romantyzmu, jesteście z natury klasykami, winniście znać wasz Olimp. Wśród wesołych bóstw, które raczą się tam nektarem i ambrozyą, spotkacie jedną boginię, która wśród miłego spoczynku zachowuje jednak zawsze zbroję, hełm i dziędę. To bogini mądrości”.

Podobnie i Edgar Quinet opowiada w swych pismach, że, podróżując po Niemczech z pewnym pisarzem niemieckim, człowiekiem nader uprzejmym, a pod względem politycznym — umiarkowanym, zapytał go raz, do jakiego celu, zdaniem jego, winny zmierzać Niemcy? Na co ów odparł z zimną krwią: „Chcemy powrócić do traktatu w Verdun między synami Ludwika Dobrodusznego”.

„Teutonoman” był jednym z najulubieńszych tematów Henryka Heinego; wyśmiewał go on bez końca i zasypywał najostrzejszymi pociskami. W swych turniejach satyrycznych najchętniej próbował na tej głowie Cymbra siły swego dowcipu. Z jakże komiczną werwą odrysowuje nam w „Hartzu” jednego z tych pajaców, parodjujących Arminiusa.— „Mój Prusak z Greifswaldu zapewnił mnie, że nie wygasła jeszcze niemiecka prostota i siła, a mówiąc to, uderzał się w pierś z taką siłą, jak gdyby chciał ją rozwalić,—i wychylał olbrzymi kufel jasnego piwa. Prusak ten był synem epoki,

w której robactwu zapewniony był rozwój dowolny, a fryzjerzy narażali się na głodową śmierć. Miał długie, spadające na ramiona włosy, rycerską laseczkę, czarny teutoński tuzurek, brudną koszulę, która służyła jednocześnie za kamizelkę, a na tem wszystkim medal z białem włosiem, pochodzącym z konia generała Blüchera. Po za tem był to skończony dureń. Mój przyjaciel z Greifswaldu był jednocześnie niemieckim bardem i pod sekretem wyznał mi, że pracuje nad poematem bohaterskim, opiewającym męstwo Arminiusa oraz sławny bój Teutoburski. Dałem mu wiele dobrych rad, mających służyć do sporządzania tej epopei, zwróciłem mu uwagę, że najodpowiedniej odtworzy nastrój bagnisk i zawalonych dróg Teutoburskiego lasu, gdy napisze wiersze ciężkie, zawile i nikłe, i że będzie to z jego strony objawem wytwornego patryotyzmu, gdy włoży w usta Warusa i Rzymian same głupstwa. Spodziewam się, że ten subtelny sposób spotęgowania wrażeń uda mu się również dobrze, jak i innym poetom berlińskim i że wytworzy najzupełniejsze złudzenie bagnisk”.

Najbardziej raziła Heinego w Teutonach ich barbarzyńska ordynarność i ciasnota plemienna. Jego światły i wolny umysł nienawidził podobnego kłótliwego patryotyzmu, najeżonego rasowymi przesadami i zabobonami, czyniącego z Niemców klan, niezdolny do sąsiedzkiego współżycia.— „Tak jest— pisał Heine — mogłem niegdyś nabrać wstrętu do rzeczy samej w sobie, do samego patryotyzmu, gdy m

ujrzał maskaradę tych czarnych głupców, którzy uczynili z patryotyzmu swoje stałe rzemiosło, przybrali się w specjalny korporacyjny strój, podzielili na majstrów, podmajstrzych i czeladników patryotycznego cechu, utworzyli własne hasła, w imię których szli walczyć po całym kraju. Mówię „walczyć” w ohydny, teutońskim słowa tego znaczeniu, gdyż prawdziwa i szlachetna walka z mieczem w ręku nigdy nie należała do obyczajów tej korporacji. Ich ojciec, Jahn, ojciec cechu okazał się, jak wiadomo, podczas wojny z Francją tchórzem i głupcem. Podobno, jak majster, tak też i większość podmajstrzych składa się z osobników najordynarniejszego gatunku obłudników, których ordynarność nie miała w sobie nic jowialnego. Wiedział dobrze, że naiwność niemiecka do dziś jeszcze uważa szorstkość za oznakę odwagi i szczerości, jakkolwiek jeden rzut oka w głąb naszych więzień mógł przekonać, że łotrzykowie są również szorstcy, że szorstkość chodzi często w parze z tchórzostwem. We Francji odwaga jest kulturalną i grzeczną, a szczerość chadza w rękawiczkach i uprzejmie uchyla kapelusza. We Francji patryotyzm polega na miłości rodzinnego kraju, gdyż kraj ten jest jednocześnie ojczyzną cywilizacji i postępu ludzkości. Opisany powyżej patryotyzm niemiecki polega, przeciwnie, na nienawiści względem Francji, nienawiści względem cywilizacji i liberalizmu. Wszak mnie pozabawia się miana patryoty jedynie za to, że mam odwagę chwalić Francję“.

W innym miejscu poeta z właściwą mu elokwencyą powraca do tego teutońskiego fetyszyzmu, przeciwstawionego szlachetnej i wszechobejmującej propagandzie geniuszu francuskiego.

— „Aby obalić Napoleona, postarano się rozbudzić wspólne wszystkim Niemcom uczucie, i wówczas najwybitniejsze osobistości poczęły mówić o niemieckiej narodowości, o wspólnej wszystkim ojczyźnie, o połączeniu chrześcijańskich ras Germanji, o jedności Niemiec. Nakazano nam patryotyzm i staliśmy się patryotami, gdyż czynimy zawsze to, co nakazą nam nasi władcy. Lecz nie należy pojmować pod słowem „patryotyzm“ uczucia, które nosi to miano we Francji. Patryotyzm Francuza polega na tem, że serce jego rozgrzewa się, że uczucie jego rozprzestrzenia się i rozszerza, że obejmuje w swej miłości nietylko najbliższych, lecz całą Francję, cały kraj cywilizacji. Patryotyzm Niemca polega, przeciwnie, na tem, że serce jego kurczy się, że ściąga się jak skóra podczas mrozu, że Niemiec przestaje być obywatelem świata, Europejczykiem, a staje się jedynie ciasnym Niemcem. Patryotyzm ten narodził się w okresie ciężkiego idealizmu, rozbudził go imć pan Jahn, zapalając zorzę zaściankowej i ordynarnej opozycji przeciw najświętszemu i najszlachetniejszemu uczuciu, jakie posiadały kiedykolwiek Niemcy, przeciw umiłowaniu ludzkości, przeciw poczuciu wszechbraterstwa ludzi, przeciw temu kosmopolityzmowi, który wyznawały zawsze nasze geniusze: Lessing, Herder, Schiller, Goethe,

Jan - Paul i wszystkie wzniosłe dusze w naszym kraju“.

Urodzony nad brzegami Renu, Henryk Heine oburzał się, widząc, jak z rzeki tej robią pruski potok. Z tego potoku, rodzącego rozdźwięk i nienawiść, pragnął on uczynić łącznik, rzekę zgody i sympatji. — „Opancerzyliśmy — pisze w przedmocie do „Germanji“ — serce przeciw bohaterskim lokajom w czarno-czerwono-złotej liberji. Słyszę już, jak krzyczą oni tubalnymi głosami: „Bluźnisz przeciw kolorom sztandaru narodowego, oszczerco ojczyzny, przyjacielu Francuzów, którym chcesz oddać wolny Ren“! Uspokójcie się, będę cenił i szanował wasz sztandar, gdy zasłuży na to, gdy nie będzie już zabawką w ręku szaleńców i łotrów. Wzniescie wasz sztandar na szczyty myśli niemieckiej, uczynicie zeń sztandar wolnej ludzkości, a wówczas przeleję zań ostatnią kroplę krwi. Bądźcie spokojni, kocham ojczyznę również, jak i wy. Właśnie z powodu miłości tej przeżyłem długie lata na wygnaniu, nie płacząc, nie udając męczennika. Kocham Francuzów, gdyż kocham wszystkich ludzi, gdy są dobrzy i rozumni. Bądźcie spokojni, nigdy nie wydam Renu Francuzom dla tej prostej przyczyny, że Ren należy do mnie. Kołyską były dla mnie jego brzegi; nie widzę zaś powodu, dla którego Ren miałby należeć do kogokolwiek, nie zaś do tych, którzy urodzili się na jego wybrzeżach. Lecz przedewszystkiem należy wydobyć go ze szponów Prus. Gdy dokonamy tego, obierzemy przez powszechne głosowanie jakiegoś

dzielnego człowieka, który będzie miał wolę i możność rządzenia tym uczciwym i pracowitym narodem. Co się zaś tyczy Alzacji i Lotaryngji, nie potrafię tak łatwo, jak wy, wcielić ich do cesarstwa niemieckiego. Synowie krajów tych szczerze przywiązani są do Francji z powodu praw obywatelskich, które pozyskali podczas Rewolucji francuskiej, z powodu praw, zapewniających im równość, oraz z powodu wolnych instytucji, które mile schlebiają umysłowi burżuazji, choć nie zaspakajają w zupełności żołądków szerokich mas“.

Na zakończenie przytoczmy te parę wierszy, napisanych w r. 1841, a z których zdarzenia chwili obecnej czynią szczęśliwą przepowiednię: — „Fortyfikacje Paryża są zdarzeniem olbrzymiej wagi i ludzie, którzy w Izbie Deputowanych głosowali przeciw lub za zniesieniem ich, wywarli olbrzymi wpływ na armję. Z tą olbrzymią warownią łączy się obecnie los narodu francuskiego. Czy wzniesienie ich przyspieszy panowanie wolności czy niewoli? Czy ocali się Paryż od niespodzianego napadu wrogów, czy też ulegną, wydając miasto na łup zwycięzcy-niszczyciela? Nie wiem, gdyż w radzie bogów nie mam ani głosu, ani wpływu. Lecz wiem, że Francuzi, gdyby zmuszono ich po raz trzeci do odpierania najazdu nieprzyjacielskiego, będą bili się znakomicie. Dwa poprzednie najazdy wzmogły tylko wściekłość oporu.“

Francja ma prawo szcycić się tem, że od niepamiętnych czasów genjusz jej wyzierał nieprzepar-

ty urok na najtęższe umysły Niemiec, tych samych Niemiec, które dziś połączyły się w wściekłej nienawiści przeciw nam. — Schiller witał entuzjastycznie Wielką Rewolucję, a Konwencja nadała mu godność obywatela Francji. Beethoven opiewał nasze zwycięstwa. Goethe w okresie straszliwych wojen Cesarstwa, odmawiał przyłączenia swego głosu do chóru, wściekłe ryczącego na wieść o naszych zwycięstwach: — „Jakże,—pisał,—mógłbym tworzyć hymny nienawiści, gdy żadnej nienawiści nie czuję? Nie, nie nawidzę Francuzów, choć dziękuję Bogu, że nas od nich uwolnił. Bo i jakże mógłbym, ja, dla którego cywilizacja lub barbarzyństwo są rzeczami niepomiernej wagi, nienawidzieć narodu, który jest jednym z najbardziej cywilizowanych na ziemi, któremu w tak znacznej mierze zawdzięczam własny rozwój?“ Henryk Heine znalazł we Francji nową ojczyznę dla swego serca i umysłu. Tak oto kwiat Niemiec, wszystko co posiadają one świetnego, wspaniałego, wszystko to sprzyjało Francji. Dziś mamy przeciw sobie jej hordy; w przeszłości mamy za sobą ich święty legjon.

22 sierpnia 1870 roku.

Niemcy i Prusy.

Oto książka napisana i ogłoszona drukiem na kilka miesięcy przed wojną, lecz którą przyda się znów odczytać dziś. Wydarzenia nadały jej specjalną wagę, pozwoliły sprawdzić słuszność poglądów i przepowiedni. Autor, Wiktor Cherbuliez—jak wiadomo ceniony powieściopisarz — niespodzianie okazał się przenikliwym historykiem. Jako genewczyk nie wprowadza on do swych sądów o Prusach ani gniewu rywala rasowego, ani antypatji członka wrogiego narodu. Opowiada on i przedstawia wszystko jak dyletant polityczny. Lecz wymowa i logika rzeczy jest tak wielka, że książka ta, jakkolwiek najwidoczniej bezstronna, staje się niczwalczonym aktem oskarżenia. Polityka pruska została tu przeniknięta na wylot, poddana już nie analizie, lecz wprost wiwisekcji. Wprawdzie autor traktuje kwestję zbyt lekko, lecz wystarczy wycieniować pewne szczegóły, by nadać słowom jego przedziwną jaskrawość. Czytelnik francuski, przebiegając te strofy, nada im akcent nienawiści, podkreśli je krwawymi piętnami. Jakkolwiek Cherbuliez zbyt złągo-

dził strzały, jednak barwnie scharakteryzował ten żarłoczny i podstępny naród, — którego istotę, jak u drapieżnych zwierzętach — stanowi chytrość oraz instykta niszczycielskie. Zrodzony wśród brandenburskich piasków, pod surowem niebem, na niewdzięcznej glebie, która rodzi tylko sosny i żyto musiał on od najdawniejszych czasów kraje, by wyżyć i odbierać ziemię innym, by rozprzestrzeniać się. Ogólnie znanem jest skromne pochodzenie tego parwenjuszowskiego królestwa. W 1700 roku Fryderyk I, książę pruski, otrzymał od cesarza niemieckiego na upokarzających warunkach tytuł króla. Jak słusznie wyraził się Macaulay, „nowy monarcha wobec innych ukoronowanych głów Europy robił to samo mniej więcej wrażenie, co nabab lub komisarz wojenny, który po nabyciu tytułu znajdzie się w towarzystwie parów, których przodkowie byli prześladowani w epoce Plautagenelów za zbrodnię zdrady stanu“.

Papież, elektor saski i wielki mistrz Zakonu teutońskiego odmówili uznania tego świeżo upieczonego króla. Ludwik XIV, jak przed, tak i po przyjęciu królewskiego tytułu widział w nim li tylko arcyszambelana cesarstwa. To sztuczne i śmieszne królestwo, złożone z rozrzuconych tu i owdzie prowincji, rozdzielonych olbrzymimi przestrzeniami, wydawało się niezdolnem do życia. Był to kruchy olbrzym posiadający głowę i nogi, lecz pozbawiony kurpusu. Fryderyk II sam określał państwo to, jako „rodzaj hermafrodyty, zbliżonego

raczej do elektoratu, niż do Królestwa“. Należało więc wzmocnić tę dziwną istotę. Brutalne zagrabienie Szlązka, pokrajanie Polski, traktaty wiedeńskie kolejno nadawały jej żywotność, zaokrąglają jej kształty. Sadowa rozszerzyła ją niepomiernie. Dziś potwór, rozrosły do rozmiarów olbrzyma, rzuca się na Francję, ostrzy zęby na Holandję, chce rozciągnąć się od Bałtyku do Adrjatyku...

Od czasu Karola V-go Europa nie znalazła się jeszcze nigdy w podobnym niebezpieczeństwie. Charakter Prus nadaje ton ich polityce: od dwóch stuleci naród ten wciągnięty w kadry wojskowe stanowi w Niemczech odrębne zbiorowisko. Zrodzony z przemocy i wytresowany za pomocą brutalnej siły znał on tylko przemoc, korzy się tylko wobec siły. Pozbawiony wyobraźni i entuzjazmu naród ten chętnie zasklepia się w żelaznych korbach dyscypliny; w złościwości jego nie brak lokajstwa, a w energii rutyny starego zbója. Oryginalność jego umysłu jest żadna; kultura umysłowa, nader ścisła i dość obszerna, nie przewyższa nigdy pewnego poziomu. Obcym mu jest genjusz literacki, żaden wielki myśliciel nie wyszedł z niego; jedynym myślicielem, którego spłodził ten naród, jest Kant. Wytrwały w pracy, twardy i przywykły do trudu, ułożony do posłuszeństwa, nie podlega on władzy żadnych szlacheckich namiętności; wazki i wrogi wszystkim egoizm jest jedynym jego władcą. *„Niema narodu, pisze Cherbuliez, bardziej trzeźwego; jego zdrowy rozsądek zabezpiecza go przeciw wszelkim niebezpiecznym*

wybrykom szaleństwa; nigdy nie wyda on wojny dla idei, a gdy przypadkiem robi wrażenie, jak gdyby zakochał się w Dulcynei, bądźcie pewni, że Dulcynea jego posiada duży posag“.

Do tego twardego i ponurego usposobienia dodajcie wrodzone barbarzyństwo, które, dzięki ciągłej walce przejawia się w całej ohydzie. Nie z Berlina, nie z Wrocławia, lecz z lasów opisanych przez Tacyta w „Germanji“, zda się, wylazły pruskie hordy, szalejące w zajętych przez się krajach. Zda się Cheruskowie i Hunnowie z epoki najazdu rzymskiego powracają z armatami i udoskonalonymi karabinami. To samo dzikie okrucieństwo, to samo zamiłowanie do grabieży, ten sam nieubłagany wandalizm. Wszystkie te cechy przejawiają się obecnie przy obleżeniu Strasburga, gdzie przesyłają oni kule ponad wałami, by bombardować bezbronną ludność. A cóż mówić o zburzeniu katedry przez ich niecne pociski, tej katedry wzniesionej z pomocą niemieckich rąk, i która powinnaby być dla sztuki germańskiej tem, czem był Panteon dla sztuki greckiej! Tu Prusacy przeszli nawet Wandalów. Genezeryk z pewnością oszczędziłby germański pomnik, gdyby znalazł go w Rzymie.

W Prusach istnieje tylko państwo. Państwo pochłania i wypełnia cały kraj. Człowiek jest dla niego tylko dowoli obciążanym poddanym, którego państwo rzuca w swoją formą, urabia według swego typu, czyni prosto—lub ostrokatnym, zależnie od użytku, do którego przygotowuje go lub do obo-

wiązku, który nań nakłada. We współczesnej formie utrzymało się tam lennictwo. Średniowieczny duch ożywia i porusza tę ścisłą i dokładną maszynę, tak świetnie przystosowaną do pochłaniania i gniecienia. Szlachta tworzy tam kastę, gminy mają swych feodalnych władców; nie brak w Prusiech prowincji, które wydają się świetnie zachowanymi i żyjącymi częściami świata feodalnego. W prowincjach wschodnich istnieje jeszcze podział na ziemie szlacheckie i ziemie gminne, a pan szlacheckich dóbr samodzielnie rządzi gminą. *Landrecht*, kodeks cywilny tych prowincji przechowuje jeszcze gotyckie prawa, nadające się do Kodeksu Obyczajowego z czternastego wieku. — „Kilka lat temu zdarzyło się — opowiada p. Cherbuliez — że pewien szlachcic zakochał się w tancerce i poślubił ją. Ze związku tego narodziło się dziecko, któremu ojciec umierając, zapisał cały majątek. Dalsi krewni zmarłego, zawiedzeni w swych nadziejach, usiłowali obalić testament, domagając się uznania małżeństwa za nieważne, gdyż *Landrecht* zabrania związków między szlachtą a drobnomieszczaństwem, lecz jednocześnie jest o tyle uprzejmym dla artystów, że zalicza ich do wyższego mieszczaństwa. Trybunał był w kłopotcie; czy tancerka jest, czy nie jest tancerką? Ostatecznie zdecydowano, że ta, która tańczy solo, uprawia sztukę, natomiast ciało baletowe należy do drobnomieszczaństwa. Przejrzano skrzętnie rejestry opery i skonstatowano, że owa baletnica tańczyła raz solo. Wobec

tego małżeństwo zostało uznane za ważne i dziecko otrzymało spuściznę po ojcu“.

Starzy torysowie zeszłego stulecia, imigranci z naszej „Niewidzialnej Izby“ byli światłymi liberałami i postępowcami w porównaniu z szlagonami, którzy jako partja polityczna—t. zw. *Junkerthum*—panują w Prusach. Junkrowie, to ciemna i ordynarna arystokracja, zasklepiona w swych przesądach, złodowaciała w swej arogancji; literatura jest dla niej czczą paplaniną, a wolna myśl zarazą publiczną.

Armja jest wszystkim w tym kraju, zbudowanym według planu koszarowego. Na początku bieżącego stulecia pewien hanowerski mąż stanu, Rehberg, wyraził się: „*Prusy nie są krajem, posiadającym armję; to raczej armja, posiadająca kraj*“. Lecz armja ta, jakkolwiek złożona z synów ludu nie ma w sobie nic demokratycznego. Dostęp do wyższych stanowisk jest otwarty wyłącznie dla szlachty. Wśród dwustu ośmiu generałów, których Prusy posiadały przed wojną, było załedwie dziewięciu pochodzenia mieszczańskiego. Miła zażyłość, panująca we Francji w stosunkach między oficerem a żołnierzem, byłaby uważana w Prusach za coś skandalicznego. Chłosta i wymysły stanowią nieodłączną część systemu wojskowego. Pruska dyscyplina opiera się na przerażeniu, łamiącym dusze i ciała, komenderuje wolą żołnierza, jak jego nogami.

Armja francuska jest wielką rodziną, armja pruska jest stadem dzikich zwierząt, prowadzonych przez groźnych pogromców. Tworzy on rząd w rze-

dzie, państwo w państwie, despotyczną kastę, która spogląda z góry na ludność cywilną. Jej zbrodnie i przewinienie sążone są przy drzwiach zamkniętych przez tajemnicze trybunały.

Gwałty dokonane na osobach cywilnych karane są z śmieszną wprost łagodnością. W lecie 1869 roku pewien porucznik pruski, pokłóciwszy się o jakiś drobiazg z urzędnikiem kolejowym, zabił go na miejscu cięciem szabli; był on tajemnie sążony przez trybunał wojskowy: wyrok—nieogłoszony publicznie—został potajemnie zmieniony czy zatwierdzony przez króla. Krążyły pogłoski, że skazano go na parę lat, czy parę miesięcy zamknięcia w twierdzy, lecz nie dowiedziano się nigdy napewno, jak określili sędziowie jego zbrodnię i na co skazali go. Hełm pruski staje się w ten sposób maską, poza którą kryją się sądy wojenne. To też uniform wzbudza w Prusach ogólny szacunek; ba! jest jedynym przedmiotem szacunku. Ci, którzy raz przybrali go, nie rozstają się z nim nigdy. „Dostojnik — pisze Cherbuliez—który odbyłby spacer po ulicach Berlina w tużurku, wywołałby taką samą sensację, jak gdyby ukazał się w rannym negliżu. Podczas pobytu księcia Napoleona w Berlinie, publiczność tłumnie zbierała się dokoła niego, przyciągnięta niespotykanem dotychczas widokiem księcia ubranego po cywilnemu“. Charakterystyczna anegdota dosadnie maluje arogancję, z jaką kasta militarna przywłaszcza sobie, bez protestu z niczyjej strony pierwsze miejsce w narodzie. — „Pewien znany dzienni-

karz — pisze autor — opowiadał nam, że odwiedził pewnego razu Bismarcka, który po godzinnej rozmowie pożegnał go i odprowadził do drzwi gabinetu, gdzie zatrzymał się, ciekawie obserwując swego gościa. Dziennikarz musiał przejść przez wielki przedpokój, posiadający dwa wyjścia, jedno frontowe, szerokie i wytworne, drugie—boczne, wąskie i skromne. Dziennikarz wychodził, zatopiony w myślach, w tem wybuch śmiechu wyrwał go z zadumy i zmusił do odwrócenia. „Po raz setny sprawdzam na panu—krzyknął mu Bismarck — ciekawe doświadczenie. Wszyscy wychodzący odemnie wojskowi idą wprost przed siebie przez frontowe drzwi, wszyscy cywilni zbacząją na lewo i skromnie wymykają się przez drzwi boczne.

Poza tem Prusy są stworzone na obraz i podobieństwo swych królów, najpodstępniejszych, jakich kiedykolwiek świat oglądał. Kartagina była naiwna „zdradziecki Albion“ wspaniałomyślny w porównaniu z tym rządem bez czi i wiary, bez sumienia i litości. Wszystkie środki uważa on za dobre, jeśli pozwalają mu one zabrać coś, jeśli zapewniają udaną. Lekceważenie traktatów, zasadzki i podstępne ciosy są ulubioną zabawą ich władców. Fryderyk II działał przynajmniej z cynicznym bezwstydem: zdradzał z podniesionem czołem, kłamał bezczelnie, grabił, nie strojąc się w szaty świętoszka. Jedynem bóstwem, które uznawał był „Jego Świętobliwość Przypadek“. W swych pamiętnikach wyznaje on otwarcie wierność zaboru Szląska. „Ambicja—mó-

wi on — chciwość i chęć zwrócenia ogólnej uwagi zwyciężyły i zadecydowałem wojnę. Lecz od tego czasu chciwość pruska przybrała mistyczną maskę i opromieniła pikielhaubę auerolą, które razi swą fałszywością o sto kroków; swe krwawe dzieła zaprawiała komedjami godnymi dewotki. Rozbój Prus zwie się dziś „misją historyczną“, wyprawy zbójckie przeobrażają się w krzyżowe. Pruski uzbrojony świętoszek, zagarnąwszy dom sąsiada, obłudnie pada na kolana, żegna się skrwawionymi palcami i składa dzięki Bogu wojen. Już Fryderyk Wilhelm IV ogłosił się za „ziemskiego wasala Pana-Boga“. Lecz król Wilhelm uczynił szczególnie odrazającą tę skrzywioną karykaturę podstępного pobożnisia. Czy może być coś bardziej oburzającego i wstrętnego, niż ta pobożność i klękanie przed Bogiem prusackim z którego uczyniono okrutny fetysz, którego karmi się rzeżami, któremu dyktuje się krzywoprzysięstwa i którego można wyobrazić sobie jedynie w postaci punickiego Molocha lub germańskiego Teutatesa, którego opychano mięsem ludzkim! Pełna fałszu dobroduszość, którą ten stary zbir usiłuje pokryć grabieżę, czyni go jeszcze wstrętniejszym. Któż nie pamięta komedji, któremi sypał po Sadowie przed deputowanymi hanowerskimi, którzy błagali go, by oszczędził ich kraj. Słyszeliśmy wyłącznie zapewnienia o swej bezinteresowności, płaczliwe kondolencje, komplementy z powodu ich męstwa, zaklęcia, że przedsięwziął tę wojnę jedynie dla „zaborów moralnych“. Wszak „z ciężkiem sercem“ (schwert

und schwerten Herrens) zdecydował się na walkę, której losy złożył w ręce boże. Kończąc tę pobożną przemowę, stary król obmył ręce w krwawej misie Piłata i z wzrokiem zwróconym ku niebn oświadczył, że „wobec woli Opatrzności“ aneksję Hanoweru uważać należy za fakt dokonany. Istnieje coś straszniejszego, niż ryk lwa lub tygrysa, a mianowicie: łzy krokodyla, płaczącego nad zabijaną ofiarą, którą trzyma w zębach.

Prusy wcielili się w ciągu ostatnich dziesięciu lat w osobę Bismarcka. Pod jego wodzą zdjęły one przynajmniej maskę, a ich odsłonięte oblicze przejęłoby strachem Hobbes'a, przeraziłoby Machiavelego. Zło znalazło w nich genialnego sługę. Przypomina on demony państw, które ukazuje Milton w Pandemonium, gdy opracowują dyplomację dla Piekła. Siła przed prawem, żelazo rąbiące sprawiedliwość, zdrada opromieniona sławą, szpiegostwo uczynione honorową służbą publiczną, krzywoprzysięstwo pochwycone na gorącym uczynku i swobodnie uśmiechające się, kradzieże i zamachy na wolność narodów, — oto zasady tej polityki. Bismarck uczynił z niegodziwości system; dokończył on dzieła demoralizowania Prus, dzieła tak świetnie napoczętego przez jego poprzedników. Dziś wobec całego parlamentu bezczelnie śmieje się tam z uczynionej przysięgi. Trzy lata upłynęło od wojny, a Prusy nie wykonały jeszcze artykułu zawartego w traktacie pruskim, w myśl którego zobowiązały się do zwrócenia Danji północnego okręgu Szlezwigu. Ilekroć

razy protesty Danji rozlegały się w parlamencie, wywoływały one na wszystkich ławach „długo nieustającą wesołość“. To coś bezmiernie śmiesznego dla posłów pruskich — pisał duński dziennik, *Dagbladet* — że dwieście tysięcy Duńczyków łudzi się i powołuje na swe prawo. Powoływać się wobec Prus na traktaty wydaje się im tak wielkiem błazństwem, że można się z tego jedynie śmiać“. Liberali pruscy. pełni pokojowych i ludzkich uczuć, mówiący wciąż o postępie i prawie narodów, z zapalem protestujący przeciw wojnie 1866 roku i odrzucający z roku na rok prawo wojskowe, które umożliwiło wojnę, walczący zajadle przeciw despotyzmowi króla, nazajutrz po zwycięstwie stanęli po stronie tryumfatora. Zaprzędali duszę wobec dokonanego faktu; oklaskiwali wieczorem to, co przeklinali zrana. Armaty z pod Sadowy oświeciły ich, olśniły i nawróciły na drogę, prowadzącą pod władzę, silniejszego. I oto dziś zdumiewają się oni, że zapewniono państwowym związkowym całość ich terytorjów, oskarżają Bismarcka o nadmiar łaskawości. Jak dowcipnie powiada Cherbuliez, „ci sami ludzie, którzy odpychali skromny kielich sławy, gdy im go przysuwano, dziś doszli do tego, że chcieliby dobrać się do dna olbrzymiej beczki“. Dziś z ich szeregów właśnie rozlega się wycie szakali, krzyki rozjuszzonej psiarni, domagającej się wydania Francji na pastwę grabieży. Bismarck może być dumny, udało mu się w istocie zabić sumienie Niemców.

Aby dokładnie poznać tego człowieka i poli-

tykę, którą uspasabia on, należy przeczytać w książce Cherbuliez'a, treściwą i przenikliwą analizę zasadki, w którą wciągnięto Niemcy po Sadowie: śmieszna autonomia, pozostawiona państwu związkowemu, jako cień samoistnej egzystencji, ta Konfederacja Północna, która jest w gruncie rzeczy zamaskowaną podległością, systematyczne i umiejętne plątanie atrybucji różnych władz, niedokładne określenie kompetencji, poplątanie tego wszystkiego na kształt zagadki, którą pan może każdej chwili rozwiązać stosownie do swej woli, Izba Wyższa, która nie jest Izba, ministerja, które nie są ministerjami, zgromadzenie, obdarzone wszelkimi prerogatywami parlamentu pod jednym warunkiem, że nie będzie mogło nigdy korzystać z tych prerogatyw, kanclerz, odpowiedzialny za politykę zewnętrzną, finanse, sprawy wewnętrzne, za administrację wojskową, i który nie odpowiada za nic, gdyż odpowiada za wszystko, prezydent, który kolejno jest naczelnikiem Konfederacji i królem Prus, tak że nie można nigdy wiedzieć, gdzie zaczyna się prezydent, a kończy się król... Dodajcie do tego powolny rabunek, który po kawałku pozbawił państwa związkowe wszelkich pozorów władzy. — „Wyjąwszy wydatki nieprzewidziane — pisał pewien dyplomata — charakter polityki pruskiej jest przeciwny obdzieraniu kogokolwiek. Polityka ta ogranicza się do odrywania wam po jednym guziku, aż wreszcie, gdy ubiór nie może już służyć do żadnego użytku, Prusy uwalniają was od niego“. Umysł francuski nie jest wstanie

zagłębić się w ten labirynt chytrości i oszukaństwa; trzeba być obdarzonym niemieckimi oczami, by widzieć coś wśród tych ciemności. Dzięki tej czarności wybiegi te są niedostępne dla wzroku; gubimy się wśród nich, jak w czeluściach kopalni. Prusy kryją swe wojska w głębiach lasów, swą politykę — w nieprzeniknionym gąszczu kłamstw. Zasługą Bismarcka jest, że uczynił z germańskich mroków narzędzie władzy. Poraził on Niemcy plagą ciemności. Żarłoczność pruska, kierowana jego ręką, upodobniła się do wstrętnego pająka morskiego, który wylewa na swoją zdobycz czarną ciecz, mąci wodę, w której zdobycz przebywa i oślepia zanim pózre.

Na zakończenie przytoczymy z książki Cherhuliez'a portret Bismarcka, naszkicowany nader łagodną ręką — gdyż nie błyski dowcipu, lecz pioruny oburzenia powinien on zawierać — lecz pomimo tego złagodzenia barw — dość żywy i podobny.

„Niemożliwem jest dla was — mówił mi pewnego razu pruski konserwatysta, przechadzając się ze mną po jednej z alej Thiergartenu — niemożliwem jest dla Francuzów, Szwajcarów, Włochów pojąć naszego *premjera*. Podobny człowiek mógł zrodzić się tylko w Prusach; mógł wyrosnąć tylko na berlińskim bruku. Ma on w sobie coś z uniwersyteckiego bursza, z junkra, z porucznika gwardji, dyplomaty, despoty i rewolucjonisty; wszystko to zaprawione jest w nim czemś w rodzaju ironicznej fantazji, czyniącej z niego artystę, niemal poetę.

Niewątpliwie jest on arystokratą do szpiku kości; nie dlatego, by hołdował przesądom lub szanował tradycję, lecz z temperamentu, z zamiłowania i umiejętności władzy, wreszcie z bezmiernej pogardy dla liberalnego frazesu. Tłem jego duszy jest sceptycyzm; wierzy on tylko w ludzką głupotę i nigdy nie bierze pęcherzy za latarnie: woli bezlitośnie rozdzierać te pęcherze. Niestety! nie w wyższym też stopniu szanuje on nasze biedne latarnie liberalne; złośliwie zadmuchuje on te dymiące światełka. Przy tem wszystkim, jest on w duszy radykałem, radykałem z metody, z zamiłowania do gwałtownych i szybkich sposobów postępowania, z zamiłowania do przecinania bolesnych kwestji. Nie, ciągnął dalej mój interlokutor, arystokrata — sceptyk i radykał nie jest zwykłym typem; nie jest on też doskonałym człowiekiem — zgadzam się na to — lecz jest to człowiek nader skomplikowany. Podziwia się jego śmiałość, jego genialną, iście mefistofeliczną arogancję, i bądź pan pewien, że Prusy niejednokrotnie radowały się z powodu posiadania tak aroganckiego przedstawiciela: Prusy czują bowiem jeszcze na swojej twarzy rumieniec po policzku, utrzymanym w Olmütz. Lecz arogancja Bismarcka nie jest bynajmniej wynikiem sztywności i ciasnoty umysłu, lub też zjadliwości doktrynera, jest to tylko sposób rządzenia, umyślna taktyka. Nic niema dlań bardziej antypatycznego, niż doktrynerstwo, i w tem jest on istotnym Prusakiem. Jest to bowiem właściwością polityki pruskiej, że drwi sobie

ona z idei, zarówno jak z uczuć, z doktryn, zarówno jak z tradycji; jest to z istoty swej polityka *wolnej ręki*, zawsze gotowa do wszelkich możliwych i chwilowych sztuczek, lecz nigdy do wiązania się na przyszłość. Pod tym względem Bismarck jest doskonałym wzorem pruskiego męża stanu. Nigdy żaden człowiek nie był bardziej wolnym od wszelkiej pedanterji, od wszelkiej pruderji konserwatywnej. Jest on gotów, jeśli zajdzie potrzeba, wiązać się z rewolucją: czuje się dość silnym, by kazać jej wyciągać kasztany z ognia, a samemu chwytać je przed jej nosem. Jego wyłączną własnością jest też zadziwiająca swoboda w mowie; pogardza on drobnymi fałszami i wynalazł nowy rodzaj dyplomacji, który polega na tem, by wygrywać, grając w otwarte karty; mówi on, mówi wiele; wyjawia swe plany całemu światu, który nie wierzy mu na jotę. Mówi on: tego a tego dnia zrobię to i to, i wykonywa, co zamierzał... Częstokroć dla męża stanu wielką zaletą, zapewniającą mu panowanie, jest posiadanie cech charakteru, wręcz przeciwnych temperamentowi całego narodu, którym rządzi. Jak wielkie usługi oddał Bismarckowi w milczącym, ponurym i szczelnie zamkniętym kraju, jak Prusy, ta wielomówność, która jest jego charakterystyczną cechą, to umyślne niedbalstwo w zachowaniu się i wymowie, niedbalstwo, w którym przejawia się swoboda umysłu bogatego w idee i kombinacje, i kombinacje, zawsze pewnego siebie, zawsze gotowego do zmiany kierunku, nigdy nie przywiązują-

cego się do żadnego z nich; chwyta on wlot odpowiednią chwilę, żyje z dnia na dzień, tworzy w miarę potrzeby sposoby działania. Wielki wirtuoz, którego karjera polityczna jest ważką improwizacją“.

Wycieniujcie te rysy, których autor zaledwie dotknął, a odnajdziecie: chłodną niegodziwość, okrutny cynizm, nieludzką bezczelność, szatańską pogardę dla praw ludzkich.

Dziś portret ów nabrał szczególnej wyrazistości: krew zesześciła go doszczętnie, obryzgała od stóp do głów. A wkrótce historia przygwoździ go pręgierza.

5 września 1870 roku.

Nemesis.

Nemesis Germanica—oto bezczelne zdanie przysłane Wersalu przez pewnego Prusaka w odpowiedzi na wymowny artykuł d’Haussonville’a. Ośmielili się powołać na nią, na tę groźną boginię, wroga pysznych, mścicielkę bezczelności i niesprawiedliwości, tę którą gniewa nadużycie powodzenia, którą oburzają gwałty tryumfatora, którą starożytni przedstawiali z uzdą i miarą w ręku, by ostrzedz ludzi, że należy poskromić nędzne zakusy, że nie trzeba nigdy przekraczać granic zasłużonego szczęścia! Powoływali się na Nemesis, a w tej samej chwili bogini o dwóch twarzach zwraca ku nam pogodne oblicze zwycięstwa, ku nim rozgniewaną twarz Eumenidy. Poprzedza naszą armią kieruje naszemi szpadami naszymi piorunami; wkrótce zepchnie ich w przepaść którą jak sądzili wykopali pod naszymi murami.

Kłóż bardziej rozgniewać może ją, niż ten stary król-barbarzyńca, którego okrutna ambicja nakłada maskę śmiesznego mistycyzmu, który ze zbójckich napaści pragnie uczynić wyprawę krzyżowe,

który wyciąga ku Bogu ociekające krwią ręce i, stokroć okrutniejszy niż przodek jego Atylla, co kazał zarznąć podczas pogrzebu niewolników, każe nad odkrytym swym grobem wyrzynać się dwóm narodom. Któż mógł wyprowadzić z równowagi Nemesis jeśli nie ten przewrotny minister, ten demoniczny mąż stanu który wysławia zdradę, otwarcie dokonywa krzywoprzysięstwa, czyni ze szpiegostwa służbę obywatelską obwieszcza że siła przed prawem, że żelazo przecina węzły sprawiedliwości, który przygotował wojnę jak zasadzkę, a wykonał ją jak masową rzeź? Tragiczny błazen *Mefistofeles* dyplomatyczny, który swe nieubłagane *ultima* zatrąwa jadem mrocznej ironji, i wtrąca cyniczny śmiech między dwa punkty *układu*, żartuje on i układa dowcipy przykładając Francji nóż do gardła i w nadziei, że powalił ją na wieki — domaga się od niej honoru lub życia. Ostatnio wesoło ukazywał Europie Paryżan umierających „setkami tysięcy“ w głębi głodowego więzienia, w którym jak mu się zdaje zamknął nas. Jeśli istnieje ofiara na którą czycha Nemesis to chyba jest nią ten potwór o zimnej krwi gadu.

Niech Nemesis skarże wraz z nim jego naród, ten niewolniczy i krwiożerczy naród dochodzący w swej pysze do wściekłości upajającej się zwycięstwem, jak ordynarnem winem. Z właściwą im ciężkością dowcipu wyśmiewają Niemcy naszą próżność, w gruncie rzeczy tak niewinną, tak chętną do ustępstwa, do poprawienia się, tak skorą zresztą

do podziwiania wszystkiego obcego. Ależ próżność francuska jest skromnością w porównaniu z niemiecką pychą, z prusackim nadęciem, z tą zachłannością, która chce rządzić światem grozą bata. Czem jest nasz płochliwy szowinizm w porównaniu z teutoomanją panującą wśród Niemców, przybierającą stan bałwochwalczego delirjum i uznającą za główny dogmat, nienawiść ku Francji? „Francuzożercą“ *Franzosenfesser* jest u nich zaszczytnym epitetem. Podobnie jak Indjanin zawiesza na ramieniu oskalpowane włosy zabitych wrogów tak patriota niemiecki zawiesza na rajtarskim kasku lub studenckiej czapce ten napis. Zajadła i nieubłagana nienawiść, która shańbiła przez nich wojnę, odbierając jej wszelkie cechy rycerskości, pieniała się oddawna w ich książkach i szkołach. Gallofobja była w Niemczech jedną z gałęzi oświaty publicznej. Napadano na wszystko co francuskie: nietylko na politykę Francji, lecz i na naszą sławę literacką, nasz genjusz, nasze arcydzieła. Ich uniwersyteccy pedanci gardzą naszymi poetami i pisarzami: mierzą ich fałszowaną miarą własnej estetyki i uznają ich za niezdatnych do służenia niemieckiemu genjuszowi. Trzydzieści lat temu rząd pruski kazał udekorować jedną z sal uniwersytetu w Bonn freskiem, wyobrażającym różne szkoły filozoficzne. Byli tam wszyscy mistrze nauki, poczynając od Pitagoresa, a kończąc na najskromniejszym gryzypiórku ze szkoły Hegla. Jedna tylko francuska filozofja nie dostała zaszczytu wejścia

w to uczone grono: nie przyjęto tam ani Descartes'a ani Pascal'a. Nawet dobroduszny Overbeeck grupując wszystkich współczesnych i starożytnych malarzy i rzeźbiarzy w obrazie „Sztuki pod opieką Najświętszej Panny“ pobożnie wyklął spaczonych i wulgarnych artystów Francji—Kaulbach i Cornelius goszczą tam w charakterze poufnych doradców germańskiej Madonny, lecz Poussin, Le Sueur, Goujon, są wyłączeni z tej niebiańskiej pracowni: nie przyjmuje się tam bowiem nicponiów.

Chwilami zdaje nam się, że śnimy, gdy słyszymy, jak nazywają nas oni „rasą niższą“. Czem więc są te Niemcy, dziś tak dumne i pewne siebie?

Rasą świeżo wyzwoloną z pęt barbarzyństwa, najpóźniejszym gościem na cywilizacyjnej uczcie Europy. Wegetowały one jeszcze w gąszczu i ciemności, gdy Francja wydała Montaigne'a, Rabalais'go i plejadę wielkich poetów szesnastego wieku, gdy dzieliło z Włochami sławę Odrodzenia. Podczas gdy wszystkie szkoły posiadają tak licznych mistrzów, szkoła niemiecka posiada zaledwie jednego—Alberta Dürera—który godzien jest stanąć w rzędzie tamtych.

W siedemnastym wieku umysłowość niemiecka, na chwilę poruszona przez Lutra, zdaje się zniweczona; literatura staje się pokorną niewolnicą francuskiej. Niezgrabnie dźwigały Niemcy perukę francuską z wieku Ludwika XV-go, tego wieku, który dziś zapoznają z właściwą im arogancją; wówczas przemianowały swój język, aby upodobnić go do naszego. W osmnastym wieku te same Prusy, które dziś ośmielają

się posyłać nas do szkoły, same wstąpiły do szkoły naszych filozofów, którzy cywilizowali je i kształcili. Wszak przy wielkim ogniu Woltera grzała się ta niewdzięczna żmija. Później dopiero pojawiła się w Niemczech grupa świetnych poetów i myślicieli, jako to: Goethe, Schiller, Herder, Kant, Lessing. Ale ci wielcy ludzie, obywatele wszechświata, pełni byli ludzkości; szanowali oni i kochali Francję, a w swych dziełach pięknie wyrazili, jak wiele zawdzięczali pod względem, intelektualnym ojczyźnie Woltera. Jak straszliwy gniew rozpaliby w sercu Schillera — feodalne łupiestwo współczesnych Prus! Co za gromy olimpijskiej ironji spadłyby z ust Goethe'go na junkrów berlińskich! — Niewątpliwie promiennym był ten okres rozkwitu literackiego, lecz jakże krótkim! Od czterdziestu lat genjusz niemiecki najwidoczniej zupełnie wyczerpał się. Nie stworzono ani jednego romansu, ani jednego poematu, którego słowa mogłyby przeniknąć po za Ren, by utrwalić się wśród obecnego narodu. Ostatni wielki poeta niemiecki, Henryk Heine, był napoły Francuzem z umysłu, a całkowicie sercem. Gdy osiedlił się w Paryżu, jako w przybranej ojczyźnie, dumnie przedstawił się jako „wyzwolony prusak“.

Nawet filozofia wymarła w Niemczech, — choć zresztą, czy istniała ona kiedykolwiek? W gruncie rzeczy była to nie filozofia, lecz iście germańska sofistyka, mglista; ruchliwa, wciąż zmieniająca swą powierzchowność. Był to obłok Hamleta, w któ-

rym Polonjusz widział to wieloryba, to wielbłąda, to łasicę. Również i w tej sofistyce oko obserwatora rozróżniało kolejno *Ja* i *Nie-Ja*, za i przeciw, duch i materję, fatalizm i wolność woli. Każde nowe tchnienie wiatru obalało i przetwarzało system. Kant i Fichte, Schelling i Hegel kolejno obejmowali nieuchwytny obłok i rozplywali się we mgle. Filozofia niemiecka, jak starożytny Saturn ziewała wśród szarawej mgły i pochłaniała własne dzieci. Dziś po tylu transcendentálních rojeniach, po tylu chimerycznych wzlotach, filozofia ta popadła w chaos ordynarnego panteizmu. Zachwalany ideał doprowadził do materializmu Buchnera, siły przed prawem Bismarcka i armatnich fabryk Kruppa.

Jedna tylko dziedzina pozostała Niemcom z obszernego państwa myśli, które, jak zdawało im się, zawojowali na wieki; a mianowicie zimna dziedzina erudycyi. Tam legion uczonych, cierpliwych i skrupulatnych, niczem gnomy, zagłębia się w zwaliska językowe, przenika w labirynty mitologiczne, i czasem znajduje nawet ukryte skarby. Lecz ileż tam domieszek ile pyłu! Nauka ta, pełna kolosów, jak dawny Egipt, jak Egipt też porażoną została przez plagę ciemności. Gdyby umysł francuski nie wprowadzał do niej światła i ładu, pozostałaby na zawsze bezładnym stosem.

Można znaleźć w piasku złoto, lecz nigdy cyzelowane „wazy“ orzekł Goethe, mamy prawo zdanie to zastosować w całej pełni do nauki niemieckiej.

Znajdujemy tam liczne bryły złota, lecz, aby złoto to można było puścić w obieg, aby zastosować je do potrzeb postępu i cywilizacji, trzeba, by ręka francuska nadała mu kształt. Jednym słowem, zanik literatury, zwyrodnienie filozofji, bezład w nauce — oto bilans współczesnych Niemiec. Niema tam po Goethem i Heinem ani jednego poety, który dorastałby do stóp Wiktorowi Hugo lub Lamartine'owi ani jednego, powieściopisarza, [którego imię byłoby godnem znaleźć się obok imienia Balzac'a lub George Sand'a; nędzny i bezpłodny teatr, żyjący wyłącznie z naśladowania naszych odpadków literackich; emfatyczne malarstwo, nie przekraczające zakresu kolorowanej ideologii; skrzydlata i cudna muzyka Webera i Beethovena, przemieniona w krzykliwą czarownicę, odprawiająca sabat w operach Wagnera—oto dorobek kulturalny rasy, która ogłasza nasz upadek, obwieszcza o naszej zgubie i tłomaczy ustami pewnego profesora berlińskiego że „Niemcy mogą wytepić Francuzów, tak samo jak Amerykanie — czerwonoskórych“.

Może właśnie niejasna świadomość swego wyczerpania umysłowego popchnęła Niemcy w objęcia siły i skupiła je pod zwierzchnictwem Prus. Lecz instynkty, popychające je dziś do gwałtu, niszczyicielstwa, rabunku i wandalizmu istniały w nich zawsze, choć w stanie ukrytym. Prusy wywlekły tylko instynkty te na światło dzienne, unormowały je i popchnęły do działania. U nas panowało bezmierne złudzenie co do Niemiec; legenda wytworzyła między nami a nimi zwodniczy miraż. Za-

ludniwszy kraj ten idealnemi i dobrodusznemi postaciami, zrodzonemi w fantazji jego poetów. Widzieliśmy tam tylko dobrodusznych uczonych, studentów-marzycieli, platoniczne oblubienice, pogodnych patryjarchów, spoczywających w cieniu lip. Rzekłbyś, że po drugiej stronie Renu natura ludzka powracała do stanu niewinnego dzieciątka rajskiego. Herman i Dorothea, Werter i Karolina, Max i Tekla, wyciągnięci w długi rząd ukrywali przed naszym wzrokiem naród łupieżców, który organizował przeciw nam swe hordy.

Idealizm jest w Niemczech wyjątkiem, właściwością rzadkich wybrańców. W gruncie rzeczy zaś rasa jest twarda i dzika. Ona to od niepamiętnych czasów dostarczała najokrutniejszych żołnierzy, najprzewrotniejszych dyplomatów, najchytrzejszych bankierów, najbardziej zdemoralizowanych i skłonnych do frymarki władców. Żaden naród nie uprawiał z tak wielką zjadłością i okrucieństwem wojny lub lichwy. Jego jasna dobroduszność była li tylko maską, przykrywającą podstępny makiawelizm. Łagodność germańska — to pozór, który nadaje sobie naród łapczywych sępów. Zaiste niezrozumiałem było złudzenie nasze, gdy widzieliśmy cnotliwą Arkadję w narodzie Wallensteina, Fryderyka, Blüchera, Bismarcka! Najazd zbudził nas, nie zasypiajmy więcej, nie powracajmy do tych rojeń! Umizgając się do Małgorzaty, strzeżmy się Fausta, który przyrządza zabójcze trucizny w swym tygielku. Nie wracajmy do gajów idylli niemieckiej, gdyż niezapominajki

germańskie zbrukane są krwią. Wiedzmy, jak zachowuje się w zdobytym kraju Herman, zaciągnięty do armji pruskiej, pamiętajmy jak świetnym ułanem, od rekwizycji, jest Werter przybrany w pikielhaubę. Jeden z ich poetów prznosił Niemcy w powietrzne przestwory; uwierzyliśmy mu na słowo i z oczami wzniesionemi ku niebu szukaliśmy wśród gwiazd tej anielskiej muzy... I oto z lazuru w którym topiliśmy nasz wzrok spada na nas rój sępów z nastawionymi szponami, z dzikim wrzaskiem.

Po zawojowaniu nas, Niemcy chcą nas kształcić. I rzeczywiście udało im się nauczyć nas jednego — nienawiści, nienawiści świętej, narodowej; trwałej i gorzkiej urazy za zniesione obelgi. Niemcy nigdy nie zapominają, są one mściwe i urazy ich są wieczyste. W języku ich to samo słowo—*vergeben* — oznacza *przebaczać i zatruwać*. Ich urazy względem nas nie sięgają okiem wojen napoleońskich, lecz dotyczą westfalskiego traktatu, pożarów Palatynatu i innych wydarzeń, — wszelkich niezapomnianych sporów z okresu gotyckiego, o którym my, z właściwą nam dobroduszością, dawno już zapomnieliśmy.

Pamiętajmy co opowiadał nam Heine o owym studencie, spotkanym w kawiarni w Getyndze, który wykladał mu, że należy zatopić we krwi Francuzów wspomnienie o Konradynie Hohenstaufen, straconym przez nas w Neapolu w 1268 roku. Nie miejmy tak długiej pamięci, lecz nie zapominajmy też zbyt prędko. Dopóki oni będą nienawidzili nas,

do chwili ostatecznej zgody, nauczmy się nienawidzić ich wzajem. Niemcy nazywają nas „dziedzicznym wrogiem“ przyjmijmy i my to dziedzictwo. Niech straszliwe rany, które zadali oni ojczyźnie naszej podczas tej okrutnej wojny wzywają długo zemsty. Niech między nami a nimi stanie niewzruszona Nemesis. Nawet i po zawarciu pokoju wystrzegajmy się emigrantów niemieckich, którzy z fałszywymi uśmiechami przybędą do nas, by znów zajmując miejsca pasożytów w naszym przemyśle, przy naszym ognisku. Odepchnijmy ukryty najazd, jak napad zbrojny. Pamiętajmy o wczorajszych gościach a dzisiejszych zdrajcach, o tych, którzy przez lat dziesięć szpiegowali nas przez szczeliny w ciele trojańskiego konia.

Nemesis germanica! słusznie wykrzyknął Prusak *Germanicus*, był to tytuł nadawany w Rzymie bohaterom, którzy spychali barbarzyńskie hordy w głąb gąszczu ich lasów. Grzmią działa, Paryż walczy, Francja łączy się z nim, zwycięstwo powraca ku naszym wzniesionym sztandarom. Może jeden z naszych wodzów zasłuży wkrótce na sławny przydomek: *germanicus*.

5 grudnia 1870 roku.

Więzień pruski.

Żywy mur więzienny, który otacza nas i dławii, przypominał mi lochy ciemne, w których Prusy zamykają swych więźniów. Więzienia pruskie są słynne podobnie, jak koszary, są to pomniki tego kraju.

Perspektywa otrzymania w nich bezpłatnego mieszkania skłoniła Henryka Heinego do porzucenia Berlina i osiedlenia się we Francji w 1830 roku. Ojczysty klimat — opowiada poeta — stawał się dla mnie z dnia na dzień bardziej szkodliwy i musiałem wreszcie pomyśleć poważnie o zmianie rezydencji. Podlegałem halucynacjom i ze strachem spoglądałem na obłoki, które zda się szydlerczo krzywiły się do mnie w swym napowietrznym biegu. Chwilami wydawało mi się, że słońce jest kokardą pruską, w nocy śnił mi się straszliwy czarny sęp, który rozrywał mi pierś i pożerał wątrobę, stawałem się smętnym. Melancholję mą spotęgowały jeszcze rozmowy z nowym znajomym, którego pozyskałem w tym czasie. Był to stary radca sądowy z Berlina, który długie lata spędził ongi w fortecy Spandau

w charakterze więźnia stanu i który opowiedział mi, jak przykrem jest noszenie kajdan w zimie. W istocie uważałem za bardzo okrutne, że nie ogrzewano w zimie kajdan tych biedaków, gdyż ogrzane kajdany nie wywołują tak niemiłych dreszczy. To też zauważyłem, że w innych krajach najbardziej wrażliwi na zimno ludzie znosili jaknajlepiej odpowiednio ogrzane kajdany. Dobrze byłoby też perfumować łańcuchy różanem i laurowem kroplami. Zapytywałem mego radcy, czy często zdarzało mu się jadać w Spandau ostrygi, odparł mi na to, że nie, gdyż Spandau leży zbyt daleko od morza. Były pensjonarz zakładu tego skarżył mi się nawet, że nie zawsze dostawał do jedzenia mięso. Za to często do zupy wpadała mucha i tłumaczono nam, że to drób, opowiedział mi stary radca. Ponieważ stan mój wymagał bardziej wesołych wrażeń, ponieważ Spandau leży daleko od morza i niema tam ostryg, ponieważ dalej łańcuchy pruskie są bardzo zimne w zimie i nie miałem zamiaru kosztować drobiu jego królewskiej mości, Króla Prus, postanowiłem wybrać się w podróż do Paryża— ojczyzny wina szampańskiego i Marsyljanki — aby skosztować pierwszego i posłuchać drugiej.

Myśląc o więzieniach pruskich, przypomniałem sobie też najślynniejszego więźnia barona von Trenck, który dwukrotnie zbiegł z więzienia, dokazując cudów męstwa i hartu. Historia jego ma wiele wspólnego z naszą, to też warto przypomnieć ją dziś. Przyczyną katastrofy był stosunek Trencka z księż-

niczka Amelją, siostrą Fryderyka II. Miłość na wyżynach od niepamiętnych czasów posiada własność przyciągania gromów. Przez czas pewien wściekłość tliła się w duszy Fryderyka, nim uderzył Trencka—do tego czasu ulubionego pazia—prześladował go wszelakimi sposobami. Posyłał go na odwach na sześć dni w tygodniu, zanim skuł go w kajdany, zaciskał koło niego żelazne więzy dyscypliny, popychał go do buntu surowością i niesprawiedliwością. Nieostrożny list, napisany przez Trencka do kuzyna pułkownika w wojskach Marji-Teresy, z którą Prusy toczyły wojnę, dał królowi możność wystąpienia z całą surowością. Trenck oskarżony o zdradę stanu i klucie spisków z wrogami Królestwa, został zamknięty w fortecy w Glatz. Liczył zaledwie dwadzieścia lat, gdy wpadł w tą mroczną otchłań, w której miał spędzić całą młodość. Wówczas to rozpoczęła się bohaterska walka jednego bezbronniego człowieka z drzwiami, bramami, kratami, zamkami, murami i przepaściami, bezlitosnymi dozorcami, stokroć czujniejszymi, niż smok z bajki, walka ta przechodzi pracę Herkulesa, gdyż Herkules posiadał bądź co bądź maczugę, był w pełni sił i na wolności, podczas gdy więzień, zamknięty wśród czterech ścian, musiał miażdżyć granit lub przecinać stal zardzewiałym gwoździem lub ukrytą sprężyną od zegarka.

Za pierwszym razem Trenck z pomocą scyzoryka, w którego ostrzu porobił zęby, przepiłował trzy potężne sztaby w oknie i pojął na paski skórzany

wieszak i dołączywszy do pasków tych prześciera-
dła, sporządził rodzaj drabinki sznurowej i wysko-
czył przez okno, położone o piętnaście pięter powy-
żej dziedzińca. Lecz zabłądził wśród bagnisk, ota-
czających cytadelę, błoto pochłonęło go, poczęło
dławić go i był zmuszony przywołać na pomoc war-
townika. Odprowadzono go z powrotem do więzie-
nia, obostrzono jeszcze dozór nad nim.

W ośm dni po tej nieudanej próbie Trenck wyrwał szpadę majorowi, który wszedł do jego celi, wybiegł z celi, przerznął się przez rząd żołnierzy, którzy przybiegli na alarm, zranił czterech ludzi, wspiął się na wał, skoczył do rowu i podniósł się bez żadnego szwanku. Bóg opiekuje się widocznie zbiegami. Niestety, niebacząc, więzień zaczepił no-
gą o palisadę i zanim wyplątał się, został znów schwytyany. Pokłutego bagnietami, bardziej podob-
nego do trupa, niż do żywego człowieka, odprowa-
dzono go do celi.

Zaledwie Trenck wyleczył się już, począł ob-
myślać plan nowej ucieczki, tylko żądza wolności,
która nie słabnie nigdy, może wytłomaczyć podob-
ne cuda wytrwałości. Wiara przenosi góry, żądza
wolności burzy mury więzienia, tym razem więzień
nasz znalazł towarzysza i wraz z nim skoczył z ol-
brzymiego wału, towarzysz jego padając zwichnął
sobie nogę, lecz Trenck, który pod pozorami rozko-
chanego pazia krył siłę i odwagę atlety, wziął go
na plecy, biegł w ten sposób jakiś kwadrans prze-
szedł Men, mając wodę do pasa i wśród gęstej mgły

począł krążyć po śniegu dokoła góry. Zrana gdy sądził że znajduję się już daleko, z przerażeniem usłyszał zegar Glatzu wybijający czwartą godzinę. Lecz odwaga nie opuściła go i porwał jakimś chłopu dwa konie, puścił się galopem i szczęśliwie dojechał do granicy Czech. Wreszcie udało mu się odzyskać wolność. W ośm lat później Trenck był o tyle nieostrożnym że udał się do Gdańska celem odebrania spadku po matce. Było to kuszeniem nieuniknionego losu. Gdyż Fryderyk nie stracił go z oczu przez ten długi okres czasu. Nienawiść jego wzrosła jedynie z powodu zwycięstwa odniesionego nad nim przez więźnia. Obecnie całą zranioną miłość własną zawiedzionego myśliwca włożył w dzieło schwywania go. Jego psy policyjne przebiegały wzdłuż granic tropiąc zdobycz, wyszukując ślady jednego fałszywego kroku by rzucić się na upatrzoną ofiarę. Przejeżdżając do Gdańska Trenck wpadł w ręce króla. Wolne miasto zaprzedało się Prusom i sędziowie postanowili wydać swego gościa, trzydziestu huzarów porwało go i odwiozło do Berlina. Ztąd przewieziono go do Magdeburga, gdzie oczekiwała go ciemnica w całej swej grozie. Było to wgłębienie wyżłobione w kazamacie, nad niszą znajdowały się trzy pary drzwi, światło przenikało tu tylko przez wązki otwór przebity w murze grubości siedmiu stóp; potrójna kratka żelazna zabezpieczała przeciw usiłowaniu ucieczki, Straszliwa ta ciemnica stała się dla Trencka „głodową wieżą“, gdyż poddano go szarpiącej trzewia djecie. Półtora funta żołnierskiego

chleba i dzbanek wody stanowiły jego całodzienny posiłek. Dotychczas uciezki jego znamienowały światłość, obecnie wśród męczarni odosobnienia i głodu wyrobił się w nim genjusz, na który składała się cierpliwość mrówki i wytrwałość kreta, pracował jak milczące robactwo ziemne, ześrodkowane w nim zdolności ludzkie łączyły się z instynktem zwierzęcia i czujnością robaka. Trenck odśróbował żelazo u drzwi i zrobił z niego narzędzia z pomocą których wydrążył otwór w ścianie i dokonywując cudów przebiegłości, ukrywał przed dozorcami ślady swej tajemnej pracy. Kawałki muru rozcierał na proszek nogami, następnie wyrzucał ziarenka i pył przez wązką szczelinę, zrobiwszy z papieru coś w rodzaju rozpylacza. Po sześciomiesięcznej pracy ścianą została przebita i droga otwarta... lecz zdrada zamknęła ją nanowo. Król uwiadomiony o usiłowaniach więźnia, przybył osobiście do Magdeburga, by urządzić dla swego jeńca już nie więzienie lecz grób. Autor Anty-Machiavellego niby średniowieczny tyran włoski postarał się uczynić męczarnie więźnia możliwie wyrafinowanemi. Sam opracował plan lochu i wyrysował modele łańcuchów. Tej samej nocy kiedy Trenck spodziewał się uciec przeniesiono go do nowego więzienia. Loch ten był straszliwym zbiorem kamieni i żelaza. Cztery pary drzwi cięższych niż płyty lochów grobowych, mury, których nie przebiłaby armata, wązki otwór najeżony kratami, które pożerały wprost światło, dopuszczając do więźnia zaledwie słaby promyk! W takim

lochu osadzono Trencka zamurowanego wśród ciemności z nogami skrzepowanemi, dwiema wśrubowanemi w ścianę obręczami, z rękami skutemi w kajdany, szeroka listwa żelazna, której zwieszał się przymocowany do drążka łańcuch, obejmowała go w pasie. Żaden ludzki dźwięk nie przeciskał do jego uszu nigdy blask dzienny nie radował oczu. Aby pokazać mu że ostatecznie wykreślono go ze świata żyjących. Król kazał wyryć pod jego nogami grób, w którym miał być zakopanym po śmierci. Na grobie wyryte było olbrzymiemi literami jego nazwisko, trupia czaszka i naszyjnik z kości stanowiły ozdobę mogiły.

Tym razem sama myśl o ucieczce musiała wydać się szaleńcem. Łatwiej było człowiekowi pogrzebanemu żywcem rozbić trumnę i rozdrapać paznokciami ziemię w dole, niż Trenckowi wydobyć się z tego lochu. A jednak, ledwo zakopano go tu, już począł obmyślać plan zmartwychwstania. Wola ludzka podniecona do pewnej potęgi, potężnie naprężona i skierowana do pewnego celu, stokrotnie zwiększa siły człowieka, nadaje rękom zręczność palców wrózek i siłę pięści olbrzymów, daje nam rysie oczy i subtelny słuch ludzi dzikich. Trenck przedewszystkiem uwalnia się od zaciskających go żelaznych obręczy, żelazo łamie się jak zeschnięta słoma, od jego atletycznych nateżeń. Uzbrojony w nóż, który wykradł swym dozorcóm, Trenck odrywa zamki od trzech pierwszych par drzwi. Lecz przy trzeciej łamie się, trudno dwa razy złamać piekielne bramy. Pozostałym kawałkiem noża, Trenck jak

skazaniec rzymski, otwiera sobie żyły na rękach, i kładzie się by umrzeć w kałuży krwi. Lecz instynkt samozachowawczy budzi go z tego letargu; nagła wściekłość ożywia go, postanawia zrobić z więzienia redutę, na której umrze jak żołnierz jeśli dozorczy nie zechcą wejść z nim w układy. Łańcuchami rozbija kamienną ławkę, która stanowiła jedyne umeblowanie jego lochu, buduje z niej barykadę, za którą staje z kamieniem w jednym, a kawałkiem noża w drugim ręku. Z razu dozorczy cofają się z przerażenia przed krwawym widmem, które grozi im kamieniem. Jeden grenadier rusza do ataku lecz pada pod uderzeniem kamienia, który trafia go w czoło. Przybywa komendant i zgadza się na kapitulację, przyrzeka więźniowi amnestję za usiłowanie ucieczki, a Trenck wydaje mu swą redutę. Zawiedziony w nadziei wydostania się przez drzwi, Trenck szuka teraz wyjścia pod ziemią. W ciągu kilku dni podważa kamienną posadzkę i żłobi drogę na piasku, na którym zbudowany jest fort. Schwytany i tym razem zostaje okrutnie ukarany. Forteca posiadała właśnie nowego komendanta, uosobienie chłosty *carcerc duro* w postaci ludzkiej i jedna z tych ponurych postaci o sztywnej postawie i mętnych oczach, które dość często spotyka się w twierdzach niemieckich i które zdają się być stworzone specjalnie na to by odczytywać wyroki śmierci nieszczęsnym, roztrzeliwanym o północy w rowie fortecznym. Kanały, krypty, klasztory, wszystkie ciemne i wilgotne miejsca

bywają zaludnione przez tylko właściwe złośliwe stworzenia i rośliny; okrutne szczury wstrętne ropóchy, zjadliwe padalce, sączące truciznę grzyby. Podobnie też w cieniu więzień rodzą się istoty specjalnie niegodziwe, brutalni tyrani znajdujący rozkosz w jątrzeniu, napawający się widokiem cierpień i łez. Nowy komendant był z tego gatunku mieszaićców psa i tygrysa. Kazał zawiesić Trenckowi na szyi ciężką deskę, z której zwieszał się gruby łańcuch ugniatający ciężarem swym szyję. Było to jakby powieszenie wstrzymane właśnie w chwili, która poprzedza śmierć. Lecz nie na tem koniec, wypróbowano na nim tortury praktykowane przez katów chińskich, pozbawienie snu. Tylko zamiast bębna, dozorca obowiązany był budzić więźnia co kwadrans. Ale tak samo jak rzeźbiarze przystosowują członki swych karjatyd do ciężaru które mają one dźwigać, tak też i los skazując Trencka na tortury, obdarzył go ciałem zdolnem do zniesienia wszystkiego. Głód, chłód, ból nękały, lecz nie były w stanie powalić go i woda ciekająca ze sklepienia w jego lochu spływała po jego ciele jak po posąg z brązu. Przybycie nowego mniej okrutnego komendanta, uwalnia więźnia od deski. Natychmiast powraca on do swej pracy i żłobi w podziemiach galerje długości trzydziestu siedmiu stóp, którą łączy z podziemiami twierdzy.

Po skończeniu roboty przychodzi mu myśl wyprobowania szlachetności Fryderyka. Proponuje komendantowi zwiedzenie lochu i podwojenie liczby

wartowników, następnie oznaczenie mu dnia i godziny, a tego dnia o oznaczonej godzinie on zobowiązuje się pojawić wolnym po za obrębem twierdzy. Śmieją się z jego szaleństwa nie chcą mu wierzyć, a wówczas w obecności zebranych dozorców Trenck zdejmuje z siebie łańcuchy z taką łatwością jak gdyby było to ubranie wydaje broń i narzędzia podnosi płytę i pokazuje swą galerję, długą i głęboką jak gdyby budował ją inżynier.

Podziw dokonał wreszcie tego, czego nie mogła dokonać litość. Człowiek ten, który kruszył mury, wydobywał się z najgłębszych lochów, prześcignął mitologicznego Syzyfa. Fryderyk rzucił mu ułaskawienie i Trenck wyszedł z więzienia po dziesięciu latach zamknięcia. Jeśli wolno nam porównywać naród z człowiekiem, Paryż jest dziś jak ongi, Trenck śmiałym i dumnym więźniem Prus; jak Trenck jest on wygłodzony, zamurowany, otoczony żelaznym pierścieniem, niemniej ciężkim niż deska i łańcuchy Trencka. Aby uwolnić się, Paryż dokonywa takich samych cudów, jakich ongi dokonywał Trenck. Podobnie jak więzień Magdeburski, Paryż stworzył sam swe narzędzia i broń, skupił w sobie zręczność i siły całego narodu. Miasto zbytku zmieniło się z dnia na dzień w obóz wojenny, swe fabryki przerobił Paryż na groźne arsenały, stare żelastwo przetopił na armaty, stare zepsute kolubryny przerobił na niebezpieczne maszyny wojenne. sporządził kartaczołnice, stworzył strzelby. Pod wałami wyrył wulkany, ze ściętych drzew porobił strażnice, z bruku ulic barykady nie

do zdobycia. Paryż dokonał niebywałego cudu, wyrzekł się miękkiego życia, wesela, a stał się bohaterką twierdzą. Przejął się wszystkimi cnotami męzkimi, przejął się energją, którą przyniosły mu prowincjonalne milicje, zahartowała go ta próba i wyszedł z niej niewyciężonym, nieznającym zniechęcenia ni upadku ducha. W ciągu kilku dni ludność jego uzbroiła się, wszystkie klasy ludności zespoliły się, stały jednym ciałem, wola ich zjednoczyła się tworząc zbiorową duszę narodu, wszystkie spory umilkły, ustępując miejsca braterstwu. I oto cała ludność wyległa na mury broniąc zagrożonej ojczyzny! Jeszcze jeden wysiłek, jeszcze jeden rzut, ujrzy Paryż po za obrębem fortecy, lecz nie bezbronnym i słabym jak ongi Trenck, lecz ze szpadą w rękę, wśród blasku błyskawic, wśród wybuchu kartaczy, wypędzających swymi gromami rozproszone hordy pruskie.

19 grudnia 1870 roku.

Pocziwe Niemiaszki.

Wszyscy zrzucili maski: królowie i ministrowie, margrabiowie i baronowie, szlachta i mieszczaństwo, studenci i dyplomaci, pastorowie i profesorowie, doktorzy *in utroque jure*, uznający jedynie prawo armatnie. Ich dobroduszość i powaga, ich naiwność i marzycielstwo, ich romantyzm i mistycyzm, korony patriarchów i różowe szkła, przez które spoglądali na świat — wszystko to bezładnie opada. I oto ukazują się nam takimi, jakimi są w istocie — potomkami Hunnów i Wandalów, barbarzyńcami, ujętymi w kadry dyscypliny pruskiej, lepiej uzbrojonymi, niż ich przodkowie, lecz równie okrutnymi tylko archaiczne siekiery pozamieniali na strzelby-iglicówki, lecz zawsze czczą Teutatesa, którego dziś zwać „Panem Zastępów“.

Nawet żony ich i córki stają się, jak w epoce Cymbrów, pijanemi krwią furjami. Jasnowłose dziewice, opiewane przez poetów, przeobrażają się w megiery, szczujące braci i kochanków na Francję; zakrzywione szpony jędz wyciągają ku nam, nawołując do grabieży. Małgorzata Goethego ustępując

miejsca Małgorzacie Schneider, narzeczonej Johanna Dietricha, strzelca w 7-ej kompanji 88-go pułku, 42-ej brygady, 21 dywizji niemieckiej; i ta przeobrażona Małgorzata prosi ukochanego, by „dobrał się do sklepu jubilerskiego, który możnaby ograbić“. Tak oto dom jasnowłosej Gretchen stał się jaskinią pasera i zbója! Z gniazda gołąbki wylatuje łapczywa sroka z parą skradzionych kolczyków w dziobie.

Są barbarzyńcami i chępią się tem. W walthalli króla bawarskiego, w tym panteonie tragicznym, wzniesionym ku czci wielkich mężów germańskich, posągi Alaryka, Genzeryka i Totylli królują w pierwszym rzędzie. Ci królowie - łupieżcy, groza świata, ohyda historii — zostali rozstawieni i uświęceni przez Niemcy; adoptują ich one, jako swych bohaterów i patrjarchów, a dziś z oddali okazują dymem bombardujących armat Kruppa. Niemcy odnawiają krwawe dzieła dawnych oprawców; z niszczycielską artylerją miast dawnej dzidy i topora wchodzą oni na krwawą drogę, utorowaną przez tych godnych przeciwników. Niemiec szczyci się tem, że cofnął się o piętnaście wieków i stał się dawnym dzikim Germaninem. Legenda opowiada, że Atylla, usłyszawszy jak pewien pustelnik nazywał go „biczem bożym“, skoczył w napadzie piekielnej radości, wykrzykując: „Gwiazda spada, ziemia drży, jestem Młotem, który druzgocze świat“. *Stella cadit, tellus fremit, ego Maleus orbis.* Prusacy z armji Wilhelma z równą radością przyjęliby podobne określenie. Czy pamiętacie sfalszowany te-

legram, w którym sami sobie nadawali przydomek „tych djabłów“, najwidoczniej uradowani możliwością pozowania na potworów, na demony, byli uszczęśliwieni, że ze szpica pikielhauby mogą uczynić szatański róg. W podobny sposób postępowali ich przodkowie, gdy przybrani w wilcze skóry z wyciem szli na nieprzyjaciela.

Lecz w ciągu długich wieków Wandalę uczyli się w uniwersytetach, pozyskali stopnie naukowe opracowywali tezy. Dzicy barbarzyńcy są wyćwiczeni we wszelkich naukach, umieją odróżniać podmiot od przedmiotu; Nie — Ja, stworzone i wydane na świat, by być wytępionem przez Ja. Niemcy dali pierwsi metafizyków rzezi i teoretyków zniszczenia. Ohyda ta znalazła swą definicję; zaszczyt wynalazku zależy się „Gazecie Śląskiej“. „Psychologiczny moment bombardowania“—oto jedno z tych słów, które charakteryzują i streszczają całą rasę. Niezatarte, jak piętno, bezlitosne, jak hebrajska *rakka*, słowo to zostanie po wsze czasy wyryte w pamięci i w historii. Nieznany pismak, który napisał je, sam nie wiedział, jak lapidarne słowo stworzył. Jego *lapsus calami* stało się nieśmierterną formułą. Sądził, że zapisuje papier, a wyrył na bronzie. Pióro jego miało w tej chwili twardość ryłca. Nemesis kierowała jego ręką, gdy wypisywał te dyszące zemstą słowa. Wszystkie strumienie atramentu, w Królewcu i Heidelbergu, nie są w stanie zamazać tego zdania. „Goddam“ jest według Figara podstawą języka angielskiego. „Psychologiczny moment

bombardowania“ pozostanie podstawą języka i charakteru sprusaczonych Niemiec.

Jak daleko odbiegliśmy od tych rajskich Niemiec, o których naiwnie marzyliśmy, wierząc poetom i powieściopisarzom! od tego mglistego kraju, śnieżnego raj, ozdobionego niezapominajkami, który ujrzała w ekstazie baronowa de Staël, w którym niemal bezcieleśni filozofowie, niby cienie z Pól Elizejskich, rozprawiali o etyce i metafizyce, w którym złączone uściskiem pary posuwały się lekkim krokiem przy świetle księżycy i dźwiękach sentymentalnego walca. W istocie, na początku dziewiętnastego stulecia Niemcy wskrzesiły legendową Arkadję; w okresie, gdy czuły się bezsilne w polityce, usunęły się w sferę poezji, jak do zaczarowanego gaju. Lecz zjawisko to wkrótce pierzchno: od 1815 roku Niemcy stali się znów tem, czem byli w gruncie rzeczy: narodem łapczywym i nienawistnym, mściwym i ordynarnym; wilczy apetyt i głucha nienawiść oczekiwały w nim tylko sposobności, by przejawić się. Gwałtowna reakcja przeciw poetycznej egzystencji doprowadziła kraj ten do kultu brutalnej siły i gwałtu. Po intelektualnym wieku złotym nastąpił wiek żelazny.

W ciągu dwóch wieków Prusy stanowiły w Niemczech oddzielną bandę, zrodzoną i wytresowaną z pomocą kija; militarny lud pruski czcił jedynie przemoc fizyczną. Pozbawiony wyobraźni i zapału, nie znał on nigdy skrupułów. Twardy, wytrwały, ułożony do posłuszeństwa, nie zaznał ni-

gdy mocy szlachetnych uczuć; suchy egoizm był istotą jego życia uczuciowego. Niezlomna dyscyplina tworzyła ramy dla całej rasy. To też po krótkim wahaniu, po krótkim oporze, z jakąż pokorą poddały się Niemcy dyktaturze Prus! W ich twarde ręce złożyli swą umysłowość, wyrzucili w pokrzywy strój Muzy, a przybrali sztywny uniform. Król pruski stał się dowódcą łupieskiej bandy. Idealizm kornie ugiął się przed panującym w Berlinie militarystem. Te same przyczyny, które ongi skupiły dzikie hordy dokoła Atylli, dziś skupiają Niemcy dokoła Prus. I Prusy pochłoneły je, upodobniły do siebie. Chuda krowa brandeburska pożarła tłuste krowy, które pasły się obok niej. Potwór zrodzony z tego połączenia posiada jeden wspólny apetyt, jedną wspólną zajadłość.

Przemiana ta odbyła się dawno i przejawiała się w tysiącu oznak, lecz Francja upierała się i wciąż patrzyła na Niemcy przez różowe szkła ich melodji i legend. Krzyki nienawiści tych gallofobów dochodziły do nas złagodzone przez muzyków i wydawały się nam miłosnemi westchnieniami, szczebiot idylliczny pokrywał gwar koszar, w których ćwiczone się w sztuce zdławienia nas. Najkomiczniejszem zaś w całym tem nieporozumieniu było oburzenie tego narodu, wściekłego, że chwytamy go za słowo... poetów, że odwołujemy się do jego uczuć, ideałów. Jaskinia wrzała gniewem, że wzięliśmy ją za pasterską chatkę. : W okrutnej walce, którą

toczą z nami Niemcy, nie brak wściekłości renegata marzeń i apostaty idei.

Jak niegdyś barbarzyńcy pragnęli zrównać z ziemią Rzym, tak dziś Prusacy pragną zetrzeć Francję z oblicza ziemi. Głoszą to i szczycą się tem. Wśród wybuchów olbrzymich armat rozlega się wściekły głos profesorów, którzy przepowiadają naszą ruinę i nawołują do tępienia nas. „Uczone“ inwektywy zlewają się z łoskotem artylerji. Jeden życzy, by „gallo-romańska rodzina została zniszczona“, inny ogłasza, że „rasa wyższa, niemiecka, ma prawo wytępić i zastąpić rasę niższą“, trzeci wykrzykuje: „Dziś cywilizacja romańska pada, a Niemcy—prawdziwe serce Europy, kraj o czystych obyczajach i głębokim genjuszu politycznym—obalają Molocha fałszu. Trzeba raz na zawsze zniszczyć całokształt cywilizacji romańskiej. Powiadają, że zawdzięczamy Francuzom współczesną kulturę; właśnie też dlatego trzeba ich zmiażdżyć!“.

Chwilami, gdy słyszymy to wycie derwiszów nauki, wydaje się nam, że śnimy. Umysł przeraża się na myśl o państwie pruskiem rozpanoszonem na ruinach Francji. Cywilizacja nigdy już nie podniosłaby się po podobnym kataklizmie. Byłby to podstępny powrót średniowiecza, lecz nie tego naiwnego i nieświadomego, pełnego szczytnych cnót i sił twórczych, lecz średniowiecza mechanicznego i podstępnego, pożerającego narody, dławiącego je, jak całunem, swym żołnierskim płaszczem. Na szczytach zdeprawowany i fałszowany cezaryzm, który swe

dzikie samowładztwo stroiłoby w draperje z gotyckich łachmanów „świętego cesarstwa“. Poniżej wazalizm uległych królów i niewolniczych książątek. Jeszcze nizej ordynarny feodalizm panów i szlagonów—*Junkerthum*. Na dnie plebs, złożony z automatów-żołnierzy i urzędników. Oto gmach polityczny, który pragnęłoby wybudować Prusacy.

Idealem Prus jest państwo; innego ideału nie znały one nigdy. Lecz przed słowem tem nie rozumieście ojczyzny w bohaterskim i czułem znaczeniu, jakie nadają inne narody temu świętemu słowu. Państwo pruskie pozbawione jest serca i duszy; nie znajduje ono, by winne było cośkolwiek swym poddanym. Ciągłe trudy, bierna służba, ciągły wysiłek, którego żądają Prusy od swych poddanych, nie zna innej nagrody, jak wzrost samego państwa. To żelazny bożek o paszczy mechanicznie rozwierającej się, by zmiażdżyć i pożerać. Jednostka jest tylko kółkiem, jedyną funkcją jej jest ulegać głównemu motorowi. Prusy przejęły z cywilizacji jedynie udoskonaloną broń, biurokrację, policję, administrację i nauki ścisłe. Po za tym najeżonym, jak arsenał, murem, wciąż jeszcze trwa średniowiecze. Te Prusy, które pozują na wzór współczesnego państwa, są zbiorem wszelkich zacofanych poglądów, muzeum starożytności politycznych. Feodalizm zastygł tam w swej starej zbroi, kastowy ustrój trwa w całej mocy, sądownictwo bąka jeszcze frazesy w żargonie Karlowingów, jak w starem *Zwierciadle Saksonji i Szwabji*. Pod błyszczącą i nową koroną

widmo przeszłości zgrzytliwie śmieje się i grozi. Cywilizacja pruska to przykrywający żywego nieboszczyka całun.

Nietylko wolność, lecz i genjusz Europy zamarłby pod stopą pruskiego żołdaka. Na świecie zapadłaby wieczna noc, gdyby nauka niemiecka zagaśiła światło umysłu francuskiego. Niestrawny i ciemny język niemiecki, który chwilami w poezji przybiera skrzydła, ciężko pełza w prozie. Myśli nie obracają się, lecz drepczą w tem chrapliwym narzeczu. Język ten w porównaniu z naszym jest, jak bagno w porównaniu z wartkim strumykiem. Erudycja germańska nabywa wartości dopiero wtedy, gdy ręka francuska oświecili ją i wydobędzie na światło dzienne. Jakaż płatanią jest każda niemiecka książka z dziedziny egzegezy lub krytyki; tekst tonie w odsyłaczach, odsyłacze w odsyłaczach do odsyłaczy, prologomeny i wnioski piętują się bezładnie. Robi to wrażenie owych ksiąg zaklęć, które czarownik czyta z dołu do góry przy świetle ślepej latarki, by wywołać widma.

A cóż powiedzieć o strupieszalej filozofji, u której chimeryczne systematy wzajemnie niweczą się wśród mroków mglistej frazeologii, w której idee, uznane u nas za ogólniki, przybierają maskę mytu lub symbolizmu, by wydać się głębokimi! Na księgi Straussa, na traktaty Hegla, najeżone abstrakcyjnymi terminami i dyalektycznymi formułami, mogliśmy odpowiedzieć, jak Agnieszka Moliera na kwie-

cistą przemowę Arnolfa: „*Wolter* w dwóch słowach powiedziałby więcej, niż wy“.

Hegel rzekł na śmiertelnem łożu: „Nikt mnie nie pojął, jeden tylko Goeschel zrozumiał mnie“. Po chwili, przewracając się na drugi bok, mruknął: „A zresztą i on wcale mnie nie zrozumiał“. Lecz aby nad Europą zawisły rządy germańskie, należy poprzednio zabić Francję, Francja zaś jest nieśmiertelną, i bezdenną głupotą ze strony brutalnych Prus jest przypuszczenie, że mogą one zmiażdżyć Francję. Trzy olbrzymie potęgi — a w ich liczbie i Prusy — dławią od stu lat Polskę, mającą przecież tyle słabych stron, szarpia i dręczą, a jednak nie są w stanie zdusić ją. A Prusom wydaje się, że w ciągu sześciu miesięcy zgnięli wielki i niezrównanie żywotny naród którego korzenie tkwią w sercu historii, którego głowa górowała nad całą ludzkością. Pycha, posunięta tak daleko graniczy z szałem. Francja jest światłem, a światła nie można zabić. Tylko barbarzyńcy sądzą, że zaćmienie pochłania słońce. Drugą oznaką szaleństwa Prus jest nadużywanie przez nie swych zwycięstw. Nie przebaczajmy im, lecz zaprawdę nie wiedzą oni co czynią. Ich krwawa orgja gromadzi przeciw nim olbrzymie zapasy nienawiści i żądzę odwetu. Sieją one burze i zbiorą huragan. Francja zmartwychwstanie, cokolwiek uczyniłyby Prusy, a zmartwychwstanie Francji bywa zazwyczaj wybuchem wulkanu. Między nimi a nami wyrł się odmęt nienawiści, olbrzymia rzeka krwi i łez; żaden pokój nie potrafi zasypać tej bezmier-

nej rzeki. U drzwi Prus będzie od dziś czychał z mieczem w ręku, wyczekując odpowiedniej chwili, nieubłagany wróg. Jakikolwiek byłby wynik tej wojny, Niemcy, które chciały zabić Francję, mogą powiedzieć, jak Makbet po zamordowaniu Banka. „Zabiłem sen“!

6 lutego 1871 roku.

Jak giną narody.

W chwili gdy zdawało się nam, że dosięgliśmy dna przepaści, nagle i to dno rozwarło się; przepaść kryła nowy, głębszy jeszcze odmet. Po niszczycielskim najeździe wpadliśmy w ohydną wojnę cywilną. Obręcze piekła naszego zacieśniają się, jak w poemacie Dantego. Przerażające przepowiednie, jak złowróżbne ptaki krążą dokoła Francji. Już wymawiają nad nią imię Polski. przepowiadają jej los podobny do losu tego nieszczęsnego kraju; w jej agonji odnajdują te same symptomy nieuleczalnej choroby.

Nie wierzy w tę ponurą wrózkę, lecz, aby nie zginąć, jak Polska, wspomnimy w jaki sposób zginął ów kraj.

W wiekach średnich magja posiadała zwierciadła, w których odbijała się przyszłość. Gdy przed lustrem tem stawał człowiek, skazany przez losy na tragiczną śmierć, widział się takim, jakim będzie w ostatnim dniu swego życia—z mieczem lub sztyltem, przeszywającym pierś, padającym na polu bitwy lub ściętym na stosie.

Francja zagrożona gwałtowną śmiercią, powinna stanąć przed obrazem Polski, jak przed magicznym zwierciadłem. Ujrawszy w obrazie tym katastrofę ongi nielicznego narodu, katastrofę, wypisaną krwawymi zgłoskami, Francja nauczy się może, jak uchronić się przed podobnym końcem.

Polska, podobnie jak Francja, którą przypomina z wielu rysów, była narodem szlacheckim i wspaniałomyślnym. Historia jej świetnością swą zbliża się raczej do legendy, niż do rzeczywistości. Gdy poznajemy dzieje Polski, chwilami wydaje się nam, że czytamy rycerski romans, opowiadający przygody narodu walecznych. Polityka jej była ciągle poświęceniem. W ciągu wieków własnym ciałem ochraniała ona Europę, przed groźbą najazdów muzułmańskich. Gdyby nie było Polski, która stała niezłomnie na swej placówce i z szablą w ręku odpierała barbarzyńców, może nie byłoby dzisiejszej Europy. Wiatry Islamu zmieniłyby ją do niepoznania. Ten świetny naród stworzył sobie na swoje podobieństwo rząd, którego istotą była dorywczość i elekcyjność, zbliżał się on do królestwa, gdyż zwierzchnik nosił koronę, lecz prerogatywy obywateli czyniły z kraju rzeczpospolitą, wciąż odnawiającą swe dynastje w źródle elekcji. Był to rząd idealny, lecz który mógł opierać się jedynie na trwałych i niesłabnących cnotach oraz patriotyzmie. W chwili gdy podpory te osłabły, anarchja, ukrywająca się pod pozorną wielkością, wybuchła z niebywałą siłą, przybierając postać zabójczego szału.

Podstawy państwa runęły, wszystkie prawa zostały obalone. Państwo czystych umysłów, połączonych dobrą wolą i zgodą, ustąpiło miejsca zbiorowisku partji, szarpanych przez złowrogie walki wewnętrzne. Chwila ta była dla Polski *dies irne*, prologiem mrocznej tragedji, którą zakończyło zabójstwo. Wyrok, skazujący na straszliwe poćwiartowanie został wydany przez losy.

W istocie, wyobraźcie sobie wybór króla, który stał się nie dziełem wybrańców powołanych z łona sejmu, lecz demokracji szlacheckiej, złożonej ze stu tysięcy szlacheiców, tłumnie obradujących konno na olbrzymiej równinie; wyobraźcie sobie ten konny parlament, głosujący razami szabli, i czyniący częstokroć z pola elekcyjnego pole walki. Wyobraźcie sobie wreszcie warunek absolutnej jednomyślności w rozprawach, warunek przestrzegany tak ściśle, że *veto* jednego nuncjusza, jednego deputowanego unieważniało wolę wszystkich kolegów, zrywało posiedzenie, przedłużało je do nieskończoności i uchwalało w łonie państwa nadużycia, które sejm pragnął usunąć. Uzbrojony w to bezsensowe *veto* byle pijak, byle szaleniec, intruz, lub zaprzędany wrogom zdrajca, mógł zmusić do bezczynności cały naród. Te dwa słowa „Nie pozwalam“ niby magiczna formuła, wciąż pogrążały kraj w letarg podobny do śmierci. Najczęściej po wypowiedzeniu tych niecných słów bluźnierca szybko uciekał z sejmu, jak bandyta, umyka ze świątyni, w której popełnił zbrodnie. Lecz zbrodnia jego miała pomimo to siłę wykonawczą.

Ojczyzna, którą zranił, uznawała się za porażoną legalnie i zachowywała miecz, wbity w jej ranę.

Bezład, raz wślizgnąwszy się do sejmu, zapanaował tam niepodzielnie. Posiadał on swe przepisy, swoją strategję i taktykę, swoje nieczne aforyzmy. Sztuka wywoływania tumultów zwała się „dmuchaniem w ul, aby rozjuszyć pszczoły”, sztuka tracenia drogiego czasu na czeze rozprawy, aby doprowadzić do daty rozwiązania sejmu i uniemożliwić jakąkolwiek decyzję, zwała się „przeciąganiem sejmów”. Jeśli jaka partja rozkładała się zbrojnym obozem pod murami miasta, w którym odbywały się posiedzenia sejmu, nazywało się to „trzymaniem sejmu pod tarczą”. W ten sposób utrwalona anarchja stała się konstytucją państwa, które uznało ją i zlegalizowało. Pod nazwą „konfederacji” zostało uznane prawo do wojny cywilnej. Pod pierwszym lepszym pozorem tworzyły się rokosze, rokoszanie wiązali się przysięgą, obierali regimentarza, powstrzymywali działanie praw i ujmowali w swe ręce władzę. Związki te bywały czasem uprawnione i słuszne, częstokroć tworzyły się one ku obronie świętej sprawy, lecz często też były to ulegalizowane zamieszki warcholów. Ciągła obawa powstania trzymała państwo w nieustannej grozie. Polska, jako gość Djonizjusza, drżała wciąż w obawie trzydziestu tysięcy szabel, zawieszonych na cienkiej nitce nad jej głową.

W miarę tego, jak znikwały dawne cnoty, wybujałe w sercu narodu, przywary rozwijały się, czy-

niąc coraz większe szkody. Trzymane w naprężeniu nerwy ciała społecznego rozluźniły się lub pękły; życie społeczne stało się szeregiem szalonych konwulsji. *Veto* rozpędziło sejmy, które zrywano, skoro tylko zdążyły się zbierać. Król natychmiast po wyborze stawał się wrogiem partji, która obrała go, o ile nie chciał niewolniczo ulegać jej. Szlachta zabraniała mu stawiania fortec lub otaczania miast wałami, w obawie, że fortyfikacje użyte będą przeciw niej. Polska, zaślepiona, rozbijała się własnoręcznie. Niekarność wkradła się do wojsk, jak zawsze bohaterskiego, lecz bezładnego. Z czasem wojsko stało się zbiorowiskiem rycerzy, odważnych do szaleństwa, olśniewających pole bitwy swymi gromami, lecz niezdolnych do wytrwałej i regularnej taktyki, jakiej wymagała współczesna wojna. W 1751 roku pewien historyk napisał te prorocze słowa: „Szlachta jest tarczą Polski, która nie chce znać żadnej innej. Armja, składająca się ze szlachty, zastępuje jej twierdze i wały ochronne i, niewątpliwie, ten żywy mur byłby wystarczający; dziś, jak ongi, gdyby Polacy zmienili taktykę wojenną, przestosowując się do zmian, dokonanych przez sąsiadów. Obecnie wszystkie armje europejskie stanowią ściśle zespolony korpus; ostatni Rosjanie poznali wartość tej metody, i tylko Polacy odrzucają ją i bezładnie rzucają się do walki. Otaczające Polskę narody posiadają tylko milicje, złożone z najmniej wybitnych poddanych, lecz dyscyplina milicji tych jest wyborowa i da im zawsze zwycięstwo nad Polakami do tej chwili, do-

póki Polacy nie nauczą się, że w dzisiejszych czasach bezładna armja bohaterów niechce równać się z armją zwykłych ludzi, lecz którzy umieją słuchać przywódców i stosować się do ich woli“.

Tymczasem obok tego szlachetnego, lecz niekornego narodu wyrosła nowa potęga i zwróciła się przeciw niemu, jak uosobiona antyteza. Polska doprowadziła do bałwochwalstwa swój kult wolności osobistej, Rosja zaś doprowadziła do fetyszyzmu bierne posłuszeństwo swym władcom.

Piotr I stanął na czele państwa i podniósł Rosję na niezrównaną potęgę. Pierwszy jego krok był ku Polsce; Polska była awangardą Zachodu, przegroda dzieląca go od Europy; należało więc za wszelką cenę usunąć tę przegrodę. A Polsce samo bohaterstwo nie mogło wystarczyć, by wytrzymać napór tej niepowstrzymanej fali. Tu potrzebnym był ład, łączność, nienaruszona zgoda świętego legjonu, o który rozbiły się w Grecji zastępy niewolników Kserksesa. Lecz w tej epoce anarchja osłabiła już kraj, i oto zawiązała się walka wiru z lawiną, rozproszenia z stałością.

Lekcja ta poucza nas jak giną narody, gdy pozwalają, by ich siły żywotne rozpiezchły się i rozluźniły. „Gdy człowiek staje się niewolnikiem — powiada Homer — bogowie zabierają mu połowę duszy“. Naród popada w niewolę, gdy sam przekracza swą duszę, szarpie ją; dzieląc, odbiera jej równowagę, punkt oparcia i ciężkości.

Od czasu Piotra I-go Polska podlega ciągłym

najazdom cudzoziemskim. Partje wystawiają koronę na sprzedaż i oddają ją najbogatszemu i najhojniejszemu pretendentowi. Król, który kupił berło, z swej strony sprzedaje się lub poddaje, by zachować swe miejsce, pod opiekę obcego monarchy. Karol XII posiadał swego wasala, Stanisława Leszczyńskiego, car swojego—Augusta Saskiego. Dwaj współzawodnicy walczą i kolejno strącają jeden drugiego z tronu, wreszcie zwycięstwo pozostaje przy Augustacie, kandydacie rosyjskim, który wiernie wypełnia swą rolę, króla-demoralizatora. Rosja korzysta z tych niustannych interwencji, aby przyzwyczaić Polskę do gwałcenia ich granic. Armje rosyjskie rozkładają się w Polsce obozem na długie lata. Później następuje „sejm niemy“, który składa w ręce cara polskie szable. Obszerne królestwo zmuszonym jest ograniczać swe wojsko do ośmnastu tysięcy ludzi; nie wolno mu utrzymywać armji, lecz tylko szczupły garnizon. Za czasów Katarzyny II-ej dzieło śmierci zostaje ostatecznie dokonane. Cierpliwie i umiejętnie szczepiony krajowi rozkład doprowadza do zatucia organizmu politycznego.

Polska zdobywa się na nowy wysiłek i uchwała konstytucję, która ustanawia dziedziczność zamiast elekcyjności tronu, nadaje prawa polityczne mieszczaństwu, znosi *veto*, oddaje chłopów pod opiekę prawa. Rosja, Prusy i Austria przybiegają na wieść o zmartwychwstaniu, rzucają się na zmarłą i spychają ją z powrotem do grobu.

Nowy sejm pogrzebowy, otoczony lasem ba-

gnetów, zgadza się na drugi podział. Trzeciego dnia gdy zgłodniaли posłowie omdlewają, generał rosyjski zbliża się do tronu omdlałego z osłabienia króla, wkłada ołówek w jego drżącą rękę i zmusza go do podpisania aktu drugiego rozbioru. Porażka powstania 1794 roku ostatecznie zawiera nad Polską kamień grobowy. Trzykrotnie rozbija Polska swój grób, lecz trzykrotnie ciężka płyta grobowca spada nad nią, coraz cięższa, coraz twardsza. Dziś tylko cud może wskrzesić zmarłą.

Pomimo znanych różnic, obecne położenie Francji jest nie mniej tragiczne, niż położenie Polski na schyłku ośmnastego wieku. Podobnie jak ongi Polska, tak dziś Francja zawiera w sobie nasiona śmierci, które niewątpliwie zgubią ją, jeśli nie usunie się ich w swoim czasie. Ciągniona w różne strony przez Rzeczpospolitą i trzy współzawodniczące dynastje, Francja przechodzi obecnie męki zwiastowania politycznego.

Wieczny bunt mniejszości przeciw rządowi i prawom nie jest ani mniej niecnym, ani mniej szkodliwym, niż polskie *veto*. Pierwszy rozbiór zadał nam ciężkie rany, a niewątpliwie nadejdzie drugi i trzeci rozbiór, jeśli powaleni przez wroga, będziemy rzucali się w drgawkach anarchji, zamiast podnieść się, ustalić łączność i zgodę. Prusy będą podjudzały nasze stronnictwa, będą szczuły je przeciw sobie, wywoływały zamieszki, a później pod pozorem konieczności zaprowadzenia ładu, urzędzą nowy najazd na nasze ziemie.

We właściwej chwili Prusy wezwą Europę na świadka, że niepoprawny naród francuski musi zostać poddanym ich twardej władzy. Narzucają nam może księcia hołdownika Prus, wasala w koronie, którego rola polegać będzie na tem by stać na straży pruskich interesów. Europa, przejęta niesmakiem lub przerażeniem, pozwoli na wszystko. Pogarda słumi w niej sympatje, jakie zachowała jeszcze dla nas. Przyzwyczai się ona do myśli o pokrajanej Francji i będzie dbała tylko o to, by wziąć w podziale. Ład zapanuje w Paryżu, jak w Warszawie w 63-im roku. Legenda opowiada, że Kościuszko, padając pod Maciejowicami pod ciosami pik kozackich, wypisał na śniegu złowróżbne słowa: *Finis Poloniae!* Jeśli Francja śmiertelnie zraniona, utraci w wojnie cywilnej te resztki życia, które pozostały w niej jeszcze, wówczas ostatni z walczących wypisze na krawem błocie tragiczny napis, głoszący o śmierci ojczyzny.

27 marca 1871 roku.

Święta nienawiść.

Jedną z największych zbrodni Komuny jest to, że osłabiła ona w duszy francuskiej nienawiść względem Prus. Jak silna i wrząca była ta święta nienawiść po oblężeniu Paryża, po przedwstępnych warunkach okrutnego pokoju, który wydawał część Francji pod nóż oprawcy!

Żądza zemsty pożerała nas wszystkich, nadzieja blizkiego lub dalekiego odwetu była jedyną myślą całego kraju. Tworzyły się ligi, niby kordon sanitarny, miały uchronić nas przed powrotem szpiegów niemieckich. Przyrzekano żyć tylko w nadziei zemsty. Przysięga Hanibala wyryła się we wszystkich sercach.

Wybuchło powstanie marcowe; Paryż został zajęty przez bandy warcholów i bandy te zatrwały go zbrodniami, czyniąc miasto to odrażającym w oczach całego świata cywilizowanego. Dzikość wojen chłopskich w połączeniu z okrucieństwem jakobinów zrodziły odrażającą partję, której programem politycznym jest rzeź, sztandarem — wózek grabieżcy. Wówczas we wszystkich umysłach nastąpił olbrzy-

mi przewrót. Krwawiąca rana najazdu została wypalona przez rozgrzane do czerwoności żelazo wojny cywilnej. Prusy zostały usunięte na dalszy plan krwawej sceny, na której w ciągu dziesięciu miesięcy borykała się Francja wśród potoków krwi. W porównaniu z wewnętrznym barbarzyńcą, barbarzyńca zewnętrzny wydał się niektórym prawie znośnym. Jego prawidłowe represje wydały się niektórym łagodnymi w porównaniu z pijaną tyranją demagogów, zgromadzonych w paryskim ratuszu. Miasta i wioski zajmowane przez hordy wroga były poszukiwane jako bezpieczne schronienie. Wśród dwóch odmętów Francja obawiała się bardziej tego, o którym wiedziała, że jest bezdennym. Zresztą nie można służyć dwom panom, ani dwom nienawiściom. Jak żmija wylęła z gałęzi Aarona pożarła żmiję egipskiego maga, tak i u nas ostatnia żmija pochłonęła poprzednią.

Komuna upadła, anarcja dogorywała, Francja poczyniała się odradzać. Lecz jeśli chcemy, aby podniosła się w całej swej wielkości, czempredziej wróćmy jej duszy tę niezbędną, żywotną i zasadniczą nienawiść. Utrzymujmy ją jak święty ogień. Jeśli bowiem ogień nienawiści wygaśnie, nasze życie narodowe pocznie zanikać. Wyrzeczenie się nienawiści byłoby z naszej strony abdykacją.

Trzeba dzwonić na alarm, trzeba bić w bębny, gdyż Francja nie umie nienawidzieć. W jej świetnej organizacji istnieje jeden dziwny brak i zanik pamięci. Nasza nieznajomość geografji, niezdolność

do języków cudzoziemskich zdradzają ten dziwny brak, uznany przez wszystkich fizjologów ras. Lecz nie tylko pamięć umysłowa, lecz i pamięć moralna nie dopisuje nam, w szczególności zaś brak nam pamięci wyrządzonych krzywd i obelg. Zapominamy szybko, przebaczymy łatwo najcięższe zniewagi. Może pochodzi to ztąd, że z tak olbrzymią łatwością leczymy się z zadanych nam ran. Gdyż łatwo godzimy się z wrogiem, gdyż wierzymy, że przeżyjemy ciosy, które nam zadał.

Nadomiar, nie znając nienawiści, Francja nie podejrzewa jej też u innych. Sześćdziesiąt lat przeżyliśmy obok Niemiec, nie podejrzewając wcale, że kraj ten nienawidzi nas. Cały naród spiskował na naszą zgubę, przygotowywał zabójstwo, ustanawiał—etap po etapie—plan najazdu, lecz Francja nie niewidziała i nie niesłyszała. Aż nareszcie, pewnego dnia, ogłuszona okrzykami nienawiści, Francja odpowiedziała piosnką Musseta, i znów zapomniała o wszystkim. Barbarzyńcy byli tuż obok nas, uderzając w tarcze, a my wypuściliśmy przeciw nim strzałę lekką, jak żądło pszczołki, sądząc, że w ten sposób rozbroiliśmy wroga.

Tymczasem nienawiść ku Francji była po tamtej stronie Renu wiecznym wybuchem. Płonęła ona w niezmiernych głębiach, odżywiana przez wiekowe spory, przez księgi historyczne, pergaminy starych, zapomnianych przez nas traktatów, przez pożar Palatynalu i armaty z pod Jeny. Gdyż dla Niemiec nie istnieje przedawnienie w kwestjach zem-

sty: Turenne i Napoleon są w ich pamięci współcześnie. Przytem naród ten nigdy nie uważa, że skwitował się i nasycił zemstę. Lipsk i Waterloo były dla niego li tylko pierwszym odwetem, zadatkim na niespłacony dług. W szkołach i uniwersytetach niemieckich wykładają tę odwieczną nienawiść, poeci niemieccy podniecali nienawiść tę w swych pieśniach wojennych, filozofowie układali ją w systematy; nienawiść względem Francji tworzyła sekty i kapliczki, była duszą instytucji wojskowych. Gdyby wielebóstwo istniało jeszcze, Niemcy poświęciłyby świątynie i składałyby ofiary złemu Duchowi Francji. To też gdy wybiła godzina, gdy znalazła się długo oczekiwana sposobność, odrazu zebrały się olbrzymie masy, odrazu skupiły się całe Niemcy dokoła Prus, zapominając uraz względem tego państwa; odrazu nastąpiło zjednoczenie, które stokrotnie zwiększyło siły narodu. Wszystko okazało się przygotowanem zawczasu: wola i broń, wyliczenia i entuzjazm, mechanizm i płomień. Francja była skazana z góry na przegraną, zanim jeszcze przystąpiła do walki.

Dziś po krwawym najeździe i my zebraliśmy cenny skarb nienawiści, ten skarb, który w godzinach niebezpieczeństwa jest jedynem źródłem energii, jedynym dobytkiem, ocalonym po klęsce. Na skarb ten złożyło się tyle krzywd, tyle okrucieństw, zniewag i obelg, że wydaje się on niewyczerpanym. Czyż dwumiesięczna dywersja może unicestwić go? Czyż dla garści zbójów, grabiących Paryż podczas

przelotnej chwili panowania, zapominamy o olbrzymiej i potężnej rasie, która zaprzysięgła nam zgubę, zagraża naszemu bytowi narodowemu, a w obecnej chwili uciska jeszcze trzecią część Francji? Czyżby wojna z buntownikami skłoniła nas do zapomnienia o wojnie z cudzoziemcem. W takim razie należałoby zwątpić o przyszłości Francji, gdyż ona sama wyrzekłaby się nadziei. Zamiast zmniejszać nienawiść ku Prusom, ten wstrętny bunt powinien zwiększać ją jeszcze, gdyż bunt i wojna łączą się razem, tworząc ohydny potwora o dwóch głowach. Komuna została zeksztaltowana przez Prusaków, popełnione przez nią zbrodnie są plagiatami wojennych wykroczeń prusactwa. W tej szkole wyuczyła się Komuna rekwizycji, prawa zakładników, grabieży, rozstrzeliwania bez sądu, metodycznych pożarów. Bandyci paryscy byli pachołkami niemieckiego kata, który z murów Paryża przewodniczył rozprawie z Francją.

Któż ośmieliłby się twierdzić, że ta niecna parodja nie kryła w sobie tajemnego porozumienia? Któż orzeknie, czyje złoto znaleźlibyśmy, szukając na dnie tego brudnego ścieku? Wspomnijmy dowody porozumienia między ratuszem paryskim a główną kwaterą Niemców St. Denis, wspomnijmy na pruskiego agenta, wykrytego w jednym z przywódców Komuny, dziwne słowa Bismarcka, który w parlamencie związkowym odkrył „ziarnko zdrowego rozsądku w powstaniu paryskim“. Te dorywcze oznaki, zebrane razem i uzupełnione doprowadziłyby

nas może poprzez wszystkie rozgałęzienia do ohyd-
nego spotkania z Komuną, schwytaną na gorącym
uczynku współnictwa z najeźdźcami,

Bądźcobądź pewnem jest, że wojska niemieckie
wrażały nielada radość z powodu ostatnich kata-
strof i walk. Byliśmy przez ten piekielny tydzień
w Montmorency. Co wieczór z wierzchołka wzgórz
widzieliśmy jak pożary wybuchały niby kratery, jak
rozlśniewały nad Paryżem krwawe łuny. Tuileryjski
ogród i pałac, ratusz, gmach rady państwa, pałac
królewski, całe ulice wybuchały płomieniem i ko-
lejno płonęły. Czerwony odblask palonego żywcem
olbrzymiego miasta odcinał się na czarnym widno-
kręgu nocy. Oficerowie i żołnierze pruscy nadbiegli
weseli, krzykliwi, ciesząc się z każdego wybuchu,
jak ze sztucznych ogni na zabawie. Jeszcze dźwię-
czy mi w uszach ich śmiech, słyszę jeszcze entu-
zjastyczne hura! i szyderstwa, rzucane w niemieckim
języku, który przy obelgach brzmi, jak dzikie nar-
zeczce. Prusy zebrane na wzgórzach wioski, którą
zgrażyły i przyklaskujące warowni Paryża, przypo-
minały Nerona, gdy z wysokiej baszty spoglądał na
płonący Rzym.

Nauczmy się nienawidzić tego, kto nas tak
nienawidzi. Obecna wojna nie była jednym z tych
uprzejmych pojedynków, po których zwyciężony,
podniósłszy się, wyciąga rękę do przeciwnika; jest
to walka, która nie może doprowadzić do zgody,
którą porażka przerywa, lecz nie wyczerpuje. Za-
pewne, szaleństwem byłoby popychać Francję ku

natychmiastowemu odwetowi. Lat całych trzeba nam będzie, nim wykujemy nową broń i staniemy znów w gotowości do boju. Lecz niech Bóg nas chroni, byśmy nie wpadli w poprzednią pychę! Straszliwe doświadczenie pouczyło nas, że samochwalna pewność siebie zdradza przeznaczenie, że pyszałkowate okrzyki płoszą zwycięstwo. Lecz Francja nie może zgodzić się na upadek. Wcześniej lub później, pod groźbą zaniku i śmierci, musi ona odzyskać stracone prowincje. Już przed wojną granice nasze były znacznie osłabione. Poznaliśmy już, jak szerokie wrota otwarł nieprzyjacielowi olbrzymi wylom, uczyniony w naszych granicach przez traktat 1815 r. — od rzeki Meuse do Wissemburga. Dziś niema już wylomu, gdyż niema samego muru; nasze ostatnie fortece służą dziś przeciw nam, nieprzyjacielskie armaty sięgają w głąb naszego kraju. Dopóki nie odzyskamy Alzacji i Lotaryngji, ojczyzna będzie cierpiała, jak chory, któremu amputowano jeden z członków. To skaleczenie, gdyby przeciągnęło się dłużej, sprowadziłoby naszą śmierć, gdyż naród nie może żyć bez jednego ze swych członków. Odwet w swoim czasie, jest więc nieunikniony, należy wypisać go w księgach naszych przeznaczeń, jeśli księga ta nie ma się zamknąć na wieki. Przygotujmy się do tego odwetu, do wyzyskania stosownej chwili, nienawidząc wroga. Badajmy jego siły, poznajmy jego słabe strony, wysledźmy jego postępy, skorzystajmy z jego postępów, starajmy się wyprzedzić go. Wyrzucmy po za mury Paryża legjon szpiegów, którzy powra-

cają już do nas, by bezczelnie zająć, opuszczone podczas wojny stanowiska. Niech nienawiść nasza nie ulatnia się w słowach, lecz niech przeniknie do naszych praw, niech zabarwi nasze obyczaje, niech stanie się natchnieniem naszej dyplomacji i polityki. Niech ożywi nową armję już wślawioną bohaterką walką, niech podnieci jej zapał, rozplómi jej tchnienie. Niektóre trucizny są lekarstwami, a Francja nie może uleczyć się jeżeli nie zaszczepi sobie jadu nienawiści.

Niech więc i nadal jątrzą Prusacy nasze rany! O, oni umieją uczyć nienawiści! Powodzenie naszej pożyczki kontrybucyjnej pokrytej dziesiątki razy, rozdrażnia ich, wprawia w wściekłość. Przez dziesięć miesięcy obdzierany przez nich naród żąda dwóch milionów na wykup, i oto na wezwanie jego znajduje się natychmiast pięć miliardów, oszczędności całej Europy płyną do naszych kas. Obojętny, sceptyczny i egoistyczny i pieniądz olbrzymim przyływem dowodzi wiary świata w żywotność Francji. Wypełnia on po brzegi grób, w którym Niemcy chciały pogrzebać nas na wieki. Kredyt zwyciężonego jest stokroć większy, niż byłby może kredyt zwycięzcy. I oto wierzyciel gniewa się i w cynicznym rozczarowaniu wyraża żal, że nie podwoił haraczu. Shylok zażądały od swego dłużnika funta mięsa tuż obok serca. Pacjent z nożem na gardle, przyjmując ten okrutny układ, otwiera pierś i nadstawia ją pod nóż. Lecz oto staje się nieprzewidziany cud: udaje mu się przeżyć operację, rana goi się.

Wówczas Shylock, oburzony, że ofiara jego ma tak wiele sił żywotnych, żałuje, że nie zażądał samego serca, że nie wyrwał go żywcem z jej łona.

Jednocześnie Prusy oburzają się na myśl, że Francja znów powoła do życia potężną armję. Z oburzeniem wskazują Europie ten niepoprawny naród, który nie chce być zaskoczony po raz wtóry ze swymi trzysta tysiącami zdeorganizowanych żołnierzy przez milion dwieście tysięcy wytrawnych żołdaków, Prusy dziwią się, że nie chcemy znów wpaść w tę pułapkę, w której wysączono nam krew, poświęciwano nas, doprowadzając przez szereg klęsk do jatek sedańskich. Pełnym pogroźek głosem domagają się Prusy rozbrojenia narodu, który obdarły ze wszystkiego, który dziś jeszcze gniołt ciężarem swych armji, a który ośmiela się przygotować do oporu, zamiast zdać się na łaskę wroga i bezczynnie oczekiwać recydywy z jego strony. Nigdy jeszcze *vae victis* barbarzyńskich zwycięstw nie brzmiało tak bezczelnie!

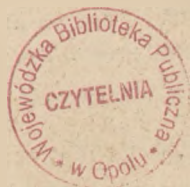
Niech więc Francja zbroi się, skoro wróg chciałby widzieć ją rozbrojoną; niech pokryje się od Alp do Pirenejów wojskiem. Niech oszczędza na wszystkim, by mieć środki na spiż do armat i kamienie do budowy fortec. Chodzi o honor, nasze istnienie, naszą wolność lub niewolę. Znacie wielką i tragiczną teorję „konkurencji życiowej“ zbudowaną przez Darwina, który dokonał przewrotu w nauce. Według teorji tej natura jest niezmiernem polem bitwy, na którem każda istota, poczynając od ameby, a koń-

cząc na dwunogim człowieku walczy o swą część przestrzeni, o pożywienie i butność zachowania swego gatunku, słabszy ulega w tej walce, ustępując miejsca silniejszemu. To niezłomne prawo znajdujemy też w historii i narody walczą o byt, i rasy wyższe zastępują rasy niższe. Twarde to prawo lecz nieubłagane. Natura bez oporu znosi to boskie prawo siły, lecz człowiek, obdarzony wolnością woli i świadomością może przeciwdziałać przeznaczeniu. Posiada on to, czego niemasz we wszechświecie — duszę. Wystarczy by wśród narodu, logiką rzeczy skazanego na zagładę pojawił się bohater, a wyrok zostaje uchylony. Dziwnym zbiegiem okoliczności, w tym samym czasie, gdy w nauce pojawia się teoria angielskiego naturalisty, w historii teoria ta przejawia się w sposób stokroć jeszcze widoczniejszy. Prusy walczyły z Francją nietylko potę, aby zwyciężyć je, lecz głównie aby je zgładzić. Powołują się one na darwinowskie prawo „konkurencji życiowej”: to znaczy siłę przed prawem, wyćpienie słabszego przez silniejszego, zagładę upadających ras romańskich przez wzrastającą rasę niemiecką. I oto zaczęła się walka, walka na śmierć i życie. Za pierwszym razem Prusy zwyciężyły. Wydać się, jakby przeznaczenie wydało swój wyrok. Lecz niech Francja nie poddaje się temu wyrokowi i niech odwoła się do swego genjuszu, który oświeśla i ogrzewa świat, niech zachowa wiarę w swą nieśmiertelność narodową, niech zapragnie odrodzić się,

a niewątpliwie ostatecznie dopnie swego celu i zwycięży.

Lecz — raz jeszcze powtarzam — aby zwalczyć wroga, nauczmy się go nienawidzić. Pogardzać Prusami, znaczy kochać Francję. Nienawiść ta jest li tylko odwrotną stroną najszlachetniejszej i największej miłości.

4 lipca 1871 roku.

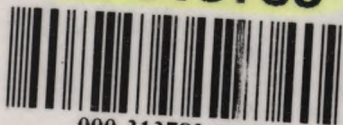


Spis rzeczy.

I	Od tłumacza.	str. I
II	Henryk Heine i Prusy	„ 7
III	Niemcy i Prusy	„ 27
IV	Nemesis	„ 43
V	Więzień Pruski	„ 53
VI	Pocziwe Niemiaszki.	„ 64
VII	Jak giną narody	74
VIII.	Święta nienawiść	83

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM 313783



000-313783-09-0